

Nr. 45 6 XI

EUGENJUSZ JAWOREK

S · Z · K · I · C

★

Cień mego ojca

Olbrzymi cień ojca zasłonił mu widok na świat.

— Odsuń się ojcze!

Ponura twarz zwraca się w stronę syna.

— Na co? Tak mi wygodnie!

— Ojcze, posuń się. Ja chcę zobaczyć coś więcej, niż twoje plecy.

— Nie!

Ryś spuszcza główkę o płowych, jasnych włosach. Po twarzyczce spływają sznureczki łez. Są słone i mdłe.

O, jakiż papa niedobry! W małej główce lęgną się myśli złe i nienawistne.

— Ojcze, jak będziesz taki zły dla mnie, nie będę cię kochał. Mamusia mnie przecież uczyła, że trzeba kochać to, co dobre i szlachetne.

— Głupi jesteś, ale to dlatego, żeś jeszcze mały. Gdy urośniesz, będziesz myślał inaczej.

Ryś nie może tego zrozumieć. Jak to, więc będzie kiedyś duży? Będzie taki, jak inni? To niemożliwe! Ryś nie lubi gmatwać swych myśli, już i tak poplątanych. Dużo rzeczy na świecie jest dla niego niezrozumiałych, a niema mu komu ich wytłumaczyć. Tylko krzyczy i krzyczy. Zresztą — co tam... Ryś woli patrzeć na wylegującego się, tuż koło parkanu psa. Właśnie i ojciec skierował wzrok w tamtą stronę.

— Tatusiu, kup mi tego pieska!

— Na co ci pies?

— Będę się z nim bawił, tatusiu!

— Eee... zawracasz mi głowę!

W domu Ryś się nudził. Największą jego uciechą było, gdy ojciec poszedł do miasta. Wtedy wyciągał swoje ołowiane wojsko i bawił się w wojnę.

* * *

Świat obracał się dokoła swej osi. Życie szło naprzód. Na duszę Rysia padają przeżycia, jak gwiazdy świetlane. Niektóre parzą, inne są łagodne w kolorze dla oczu jego duszy.

Mijały lata, a cień ojca nie schodził mu z oczu, rzucając długą smugę mroku na jego dzieciństwo. Wysoka pani w długiej, jedwabnej sukni nie zwraca na Rysia uwagi. Bo i poco? Ryś był w domu zwierzątkiem, niezdatnem do niczego, wszystkim zawsze zawadzający, często zapłakany i smutny. W chłopięcej głowie już dawno skrystalizowała się myśl, że żyje przy nich tylko z woli jakiegoś nakazu, z woli, której przełamać nie można.

Biegły dni, toczyły się wdal godziny życia chłopca, jak rozklekotany wózek na owalnych kołach. Nie skarżył się nikomu, bo wiedział, że mu nie wolno, nauczony doświadczeniem nabytem z ciężkiej, ojcowskiej ręki.

Z okna swego pokoiku lubił obserwować zachód słońca i cieszył się, gdy trafnie określił kolory, mieniące się przeróżnymi odcieniami na dalekich wzgórzach.

Nęciły go te góry z oddali. Zdawały mu się nieosiągalne. Często marzył o tem, jakby to kiedyś dojść do ich podnóża, a potem z kijem w ręku wspiąć się na szczyt i stamtąd zobaczyć świat cały. Ryś wyobrażał sobie, że góry te są najwyższe na świecie.

— — — — — — — — —

Brama pałacu zamknięta. Za wysokiem ogrodzeniem kwitną liljowe bzy. Bzy pachną. O jak cudownie pachną! Na klombach zakwitły róże. A w oczach Rysia łzy. W powietrzu rozlana cisza i jakieś dawne sny dzieciństwa myśli mroczą.

O, gdzie jesteś dzieciństwo moje?

— — — — — — — — —

Okute w lody skały. Pod nogami śnieg chrzęści na ścieżkach. W zamarzłych soplach czai się chłód. Na szarem niebie chwieje się ptak. Rozpiąwszy skrzydła, pędzi do góry.

Poleciał....

Wiatr wieje: do szpiku kości, mrożący wiatr.

Dlaczego życie moje było zawsze zimą?

Dlaczego chłód spowijał moje piersi?

Życie wypędziło z duszy mej dzieciństwo i napoiło świadomość moją wieńcem szarych dni mitręgi i znoju. O przekleństwo okrutne, które po dniach boju nie dasz mi zasnąć w nocy, boś legło na piersi i dławisz zmorą jutra!

Ryszard odpędza od siebie przykre myśli. Wtem, ni stąd ni zowąd wyrasta mu przed oczyma olbrzymi cień. Ryszard rozgląda się niespokojnie, lecz nikogo nie widzi. Po długiej chwili, która ciągnie się jak wieczność, cień znika. Serce trzepocze się w lęku. Z głębi duszy wyrywa się protest, lecz kona na ustach. Tylko rozdygotane szczęki rozchylają się, by usta mogły wyszeptać jedno słowo:

Ojcze!...

Oczy zachodzą mgłą łez. Ręce zaciśnięte kurczowo, wtłoczone w podszewkę kieszeni, wiotczeją w uścisku. Palce zwinięte w pięści, rozluźniają się.

Powoli, przed chwilą wydeptaną ścieżyną począł schodzić na dół. Wierny angielski dog spojrzał mu głęboko w oczy, wziął w zęby torbę myśliwską, leżącą na śniegu i podążył za nim.

— — — — — — — — —

Na kominku, z trzaskiem bucha ogień. Smolne polana skwierczą. Żywica płonąc, kropla za kroplą opada na spopielałe węgielki. W komnacie słychać głęboki oddech starego towarzysza, wyciągniętego na miękkim dywaniku tuż obok kominka. Zapatrzył się Ali w ogień, a gdy go ten począł razić, odwraca swój wielki łeb w stronę, gdzie w głębokim fotelu, swobodnie wyciągnięty spoczywa jego pan.

Wtem na dworze wiatr uderzył tumanem o ścianę pałacu, zawył w kominku, rozrzucił snop iskier i z hukiem otworzył okiennice. Pies zerwał się i warknął, szczerząc kły w stronę okna. Ryszard odwrócił głowę, uciszył psa i podniósł się z fotela.

Lecz nic się nie stało, nikt nie zakłócił spokoju. Tylko języki światła drgają na ścianach roztańczone, tylko myśli kłębią się w mózgu dziwne, myśli gryzące duszę, żrące serce tęsknotą za NIM — za tym złym człowiekiem, który dał życie, zbudował ciało, ale o resztę się nie zatroszczył. Zostawił zły ojciec syna na pastwę losu. Zostawił na życia ścieżce, jak sternik łódź na wzburzonych falach oceanu. Może nie wiedział, że jedno serce za nim tęsknić będzie zawsze. Może nie rozumiał.

Wtem na dziedzińcu ktoś szarpnął bramą i w ciężkiem powietrzu rozległ się cichy jęk dzwonu. Ktoś chciał wejść do pałacu.

— Ojcze! To może od ciebie ojcze? To ty mnie napewno wzywasz!

Po marmurowych schodach ktoś stąpa. Kotara u wejścia się rozchyla i ktoś, śniegiem obsypany wchodzi, podaje ćwiartkę papieru i znika.

Czerwone i czarne litery, litery drżące, małe i duże, a między niemi..... O Boże!!...

— To straszne! Ojcze! Tyś przecież nie umarł?!... Ojcze, to być nie może!! Ojcze, mój ojcze kochany!

Pękają fundamenty w gruzy walą się ściany....

— — — — — — — — —

Jak pełno tutaj kwiecia! Jak dużo barw!

Z daleka, wetknięty w ziemię krzyż, twarzą tablicy zapatrzony w dal, trwa jak pielgrzym, zasłuchany w muzykę dzwonów.

Ścieżyną dąży ktoś, a przed nim stary pies.

Ryszard podchodzi do krzyża i wspiera się na nim ciężko. Ręka wyciąga z pod płaszcza pęk kwiecia i składa go na grobie. Pies kładzie się obok.

Szmer szeptanej modlitwy i szum cmentarnych drzew.

Ryszard podnosi się z kolan.

— O, jakże teraz żyć....

Pomiędzy drzewami błądzą cienie, lecz to nie te, nie te....

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 45 **Niedziela, 6 listopada 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 45-GO:



Fot. NYT — Osaka.

Niewiele się zmieniło w psychologji narodu japońskiego, a zwłaszcza japońskiej kobiety od chwili, kiedy Loti zapoznał z nią Europę w swej pięknej książce „Madame Chrysanthème". W zeuropeizowanem życiu Japonji stanowi ukochanie dawnych tradycyj i zupełnie swoisty pogląd na życie w dalszym ciągu sprężynę działalności tego dzielnego narodu. Kobiety, które widzimy na naszem zdjęciu, noszą odwieczne stroje japońskie i wykonują prace fizyczne, co nie przeszkadza, że mogą one być wychowankami angielskiego college'u lub paryskiej Sorbony.



Królestwa zwierząt stworzone przez człowieka.

Ogrody zoologiczne, stanowiące niewyczerpane źródło radosnych wzruszeń dla miłośników zwierząt, a przytem będące idealnem, żywem studjum dla naukowców, znane były od niepamiętnych czasów. Już na tysiąc lat przed naszą erą cesarz chiński Woo-Wang zakłada wspaniały ogród zoologiczny, w którym ku wielkiej uciesze swych poddanych gromadzi wszelkie dzikie zwierzęta, gady i ptaki. Kto wie, czy cesarz chiński nie wzorował się pod tym względem na Egipcjanach, którzy, jak twierdzą poważni egiptolodzy, na podstawie badań wykopaliskowych, pierwsi wpadli na pomysł urządzania zwierzyńców dla celów naukowych i pedagogicznych, a faraon Tutanchamon, panujący ok. 1360 r. przed Chr. był zapalonym zoologistą i wielkim miłośnikiem zwierząt.

W tych czasach Europie ani się nie śniło o jakichś tam ogrodach zoologicznych. Dopiero Ludwik XI, król francuski, zakłada w Paryżu w drugiej połowie XV w. pierwszy w Europie ogród zoologiczny, który jednakże nie cieszył się zbyt długiem życiem. Już bowiem jego następca Henryk IV, któremu jakaś wróżka przepowiedziała, że zginie pożarty przez lwa, kazał w obawie o swe cenne życie wymordować wszystkie zwierzęta paryskiego Zoo, a sam ogród raz na zawsze zamknąć.

Niemniej smutny los spotkał mieszkańców ogrodu zoologicznego w Paryżu, wskrzeszonego przez Ludwika XIV. W czasie oblężenia Paryża w r. 1870, gdy mieszkańcom groziła śmierć głodowa, wszystkie słonie, lwy, niedźwiedzie, które również zdychały z głodu, poszły pod nóż rzeźnicki, by poratować tragiczny stan aprowizacji stolicy Francji.

Z czasem stało się ambicją każdego nieomal większego miasta Europy posiadanie zwierzyńca, urządzonego w miarę sił i kapitałów. Prawdziwy jednakże rozwój ogrodów zoologicznych rozpoczął się 30 lat temu, tj. od czasu, gdy wielki nowator w tej dziedzinie, słynny Hagenbeck odrzucił w hodowli dzikich zwierząt wszelkie kraty, klatki i ciasne pomieszczenia i wprowadził system wolnego wybiegu. System ten polega na stworzeniu każdemu zwierzęciu bodaj w minjaturze takich warunków egzystencji, jakie normalnie posiada na swobodzie.

Ambicją każdego ogrodu zoologicznego jest nietylko posiadanie jaknajwiększej ilości najrzadszych i najdroższych okazów zwierząt i utrzymanie ich w należytem zdrowiu i wyglądzie, lecz przedewszystkiem wyprodukowanie własnego przychowku, co jest rzeczą bodajże najtrudniejszą w hodowli dzikich zwierząt. Każde zwierzę odpowiada bowiem na wszelkie nieręczności ze strony hodowcy brakiem dążeń do rozmnażania się. To też nic dziwnego, że przyjście na świat jakiegoś słoniątka, bizona czy też innego potomka mieszkańca Zoo, witane jest niczem narodziny jakiegoś następcy tronu, a wieść o tem radosnem zdarzeniu obiega prasę nieomal całego świata.

Najpopularniejszy w Polsce i najczęściej odwiedzany przez turystów warszawski Ogród Zoologiczny jest jednym z najmłodszych ogrodów Europy. Wprawdzie już w r. 1870 wyłoniły się projekty założenia takiego ogrodu, jednak ówczesne władze rosyjskie nie odnosiły się przychylnie do tej sprawy. Dopiero w r. 1881 udało się zrealizować te plany i to dzięki wysiłkom kilku wybitnych jednostek zpośród obywateli warszawskich. Pierwszy ogród zoologiczny w Warszawie powstał na Bagateli, a wyposażony w dość pokaźną ilość drapieżników, cieszył się znaczną frekwencją publiczności. Jednakże już po dziewięciu latach ogród został zamknięty, gdyż prawie wszystkie zwierzęta wyginęły na skutek jakiejś zarazy.

Powyżej: Hipopotamica Molly.

Na prawo: Ogólny widok warszawskiego ogrodu zoologicznego.



Poniżej: Pelikan baba.



Ale warszawscy entuzjaści fauny dalekich lądów nie ustawali w swych dążeniach. Zawiązało się nawet Towarzystwo, mające wśród swych członków wielu wybitnych ludzi nauki, a zwłaszcza przyrodników, którym wreszcie udało się po długoletnich staraniach dopiąć zamierzonego celu. Zarząd miasta Warszawy wydziela w r. 1928 olbrzymi teren na prawym brzegu Wisły, naprzeciw Zamku i Starego Miasta, zakupuje pewną ilość zwierząt, do tego dochodzą prywatne dary od licznych przyjaciół i już w następnym roku warszawski ogród zostaje wciągnięty na listę Międzynarodowego Związku Ogrodów Zoologicznych, nabywając tem samem prawo do oficjalnego tytułu „ZOO".

Dyrektorem Ogrodu został wybrany drogą konkursu dr Jan Żabiński, asystent zoologji na Uniwersytecie warszawskim, wielki miłośnik i znawca zwierząt, człowiek o głębokiem sercu, a zarazem silnej ręce i rozmachu na europejską skalę. Dyrektor Żabiński piastuje swój urząd do tej pory, a obecny wysoki poziom ogrodu jest bezsprzecznie dziełem jego niezmordowanej energji i wytężonej pracy.

Warszawski ogród zoologiczny zajmuje co do obszaru, liczącego 33 hektary, pierwsze miejsce w Europie. W projekcie jest dzierżawa dalszych 7 hektarów, co w ogólnej sumie 40 hektarów stanowić będzie maksymalną wielkość obszaru, obliczoną na

możliwości najwytrwalszego turysty.

Stan liczebny zwierząt, stale powiększający się z roku na rok, przedstawia imponującą cyfrę tysiąca sztuk, przy wartości 35 tysięcy złotych. Do najcenniejszych okazów zaliczyć trzeba wspaniałą parę hipopotamów, Bobby i Molly. Olbrzymie te potwory, ważące po dwa i pół tony, o niebywale szerokiej paszczy, uzbrojonej na przodzie w dwa potężne kły, pławią się calutki dzionek w sadzawce. Od czasu do czasu unoszą łeb dla nabrania powietrza lub zwabione widokiem smacznego buraczka w ręku zwiedzającego, podpływają do brzegu, rozdziawiając pysk od ucha do ucha.



Basen niedźwiedzi polarnych obudowany blokami z betonu, imitującemi skaliste brzegi Oceanu Lodowatego.

Daleko więcej towarzyskie są foki, zajmujące obszerniejszą sadzawkę, z której chętnie wychodzą na brzeg, głośnem szczekaniem dopominając się od publiczności przysmaków w postaci rybek, sprzedawanych na miejscu ku wygodzie gości. Jeśli chodzi o sympatję publiczności, to największą cieszą się małpy i słonie. Zwłaszcza córeczka państwa słoniów Jasia i Kasi, panna Tuzinka, jako rodowita warszawianka, jest stale przedmiotem ogromnego zainteresowania. Panna słoniczka liczy półtora roku życia, waży 300 kg i jest tak fizycznie jak i umysłowo doskonale rozwiniętem dziecięciem. Do zamążpójścia ma jeszcze dużo czasu, przynajmniej z 8 do 9 lat. Imię „Tuzinka" zawdzięcza faktowi urodzenia się jako dwunaste zkolei słoniątko w ogrodach zoologicznych Europy, co swego czasu było przedmiotem szeregu artykułów w prasie polskiej i zagranicznej.

Klatki z małpami są stale oblężone i to nie tylko przez dzieciarnię, ale i dorosłych, za-



Mała „kapucynka", czekająca na okazję do nowej psoty.



Na lewo: Rodzina f l a m i n g ó w z godnością spaceruje po stawie.



Na prawo: Piękny okaz kakadu.

ZDJECIA
FELIKS NOWICKI KRAKÓW

śmiewających się z psot i figlów tych pociesznych zwierzątek. Rej wodzą rezusy i kapucynki, małe małpki, nadające się i do hodowli pokojowej. Pawiany są poważniejsze i nie uznają zabawy „na pokaz". W osobnym pawilonie umieszczono pod specjalną opieką pielęgniarki parę szympansów. O tej rozkosznej parce możnaby napisać specjalne studjum. Jak niezwykle trudne w hodowli są szympansy — świadczy najlepiej fakt, że na stosunkowo wielką ilość tych małp, przebywających w różnych zwierzyńcach, łącznie z fermą dra Woronowa, urodziło się zaledwie do tej pory w Europie dwie sztuki.

W bieżącym roku warszawskie Zoo może poszczycić się nielada przychowkiem. Dumą ogrodu są młode likaony, które po raz pierwszy w Europie ujrzały światło dzienne i to właśnie w Warszawie. Likaony są to dzikie psy, żyjące stadami na stepach afrykańskich, a z racji swego wyglądu nazwane również hjeno-psami. Niemniej dumnym jest dyr. Żabiński z małej „Ady", zebry krzyżówki dwóch odmian zebr, która acz liczy zaledwie trzy miesiące życia, już stała się przedmiotem gorących dysput i naukowej rozprawy na temat jej urodzin.

Groźne imię „Pryszczycy" zdobyła sobie antylopka gnu, która przyszła na świat akurat w dniu zamknięcia Zoo, spowodowanego ostrożnością przed zawleczeniem tej choroby do ogrodu. „Pryszczyca" jest również jedną z pereł w koronie hodowlanej dra Żabińskiego, ponieważ antylopy gnu, żyjące normalnie na nieograniczonych przestrzeniach, bardzo rzadko przychodzą na świat w niewoli.

Dla rodziny lwów, składającej się z dwunastu członków, buduje się właśnie nowy wybieg na miarę nieomal afrykańskich dżungli. Lwy zaasymilowały się stosunkowo najlepiej w niewoli. Dyrektor Żabiński, wielki psycholog zwierząt, nie ma o nich zbyt dobrej opinji. Twierdzi, że tytuł „króla zwierząt" zdobyły sobie jedynie dzięki

Dokończenie na str. 20-ej.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM

STEFANJA JARKOWSKA

★



Stefanja Jarkowska i Bogusław Samborski w jednej ze scen „Subretki" Deval'a.

Po trzech latach pobytu zagranicą powróciła do Warszawy Stefanja Jarkowska, artystka scen stołecznych, aby po tak długiej przerwie w pracy scenicznej zabłysnąć na nowo na deskach Teatru Polskiego wysoką skalą talentu.

Radość, z jaką publiczność powitała swą dawną ulubienicę oraz entuzjastyczne głosy prasy były najwymowniejszym dowodem, że te trzy lata przerwy nie zdołały w niczem osłabić w sercu płochej i zmiennej Warszawy wielkiej i niekłamanej sympatji, jaką sobie zaskarbiła artystka poprzednią pracą w teatrach stolicy. Któż nie pamięta rozkosznej spryciarki „Roxy", rozśmieszającej do łez „Arletty", sentymentalnej tancereczki „Migo" — ról, któremi młoda artystka, po zaangażowaniu jej z Łodzi przed sześciu laty do Teatru Polskiego, podbiła z miejsca całą Warszawę! Stefanja Jarkowska posiada rodzaj talentu, przemawiającego do widza bezpośredniością gry, szczerością naiwnych lub wzruszających akcentów, wrodzonym wdziękiem, humorem i temperamentem scenicznym — walorami, tak rzadko idącymi w parze, że ich właścicielka siłą rzeczy musiała się wybić ponad przeciętność i szablon i zdobyć dominujące stanowisko wśród gwiazd polskiej sceny.

W garderobie pani Jarkowskiej, której składam wizytę podczas przedstawienia, nastrój uroczysty. W wazonikach pęki kwiatów, dowody sympatji ze strony licznych przyjaciół i wielbicieli talentu artyski. Pani Stefanja — na scenie opanowana — tutaj

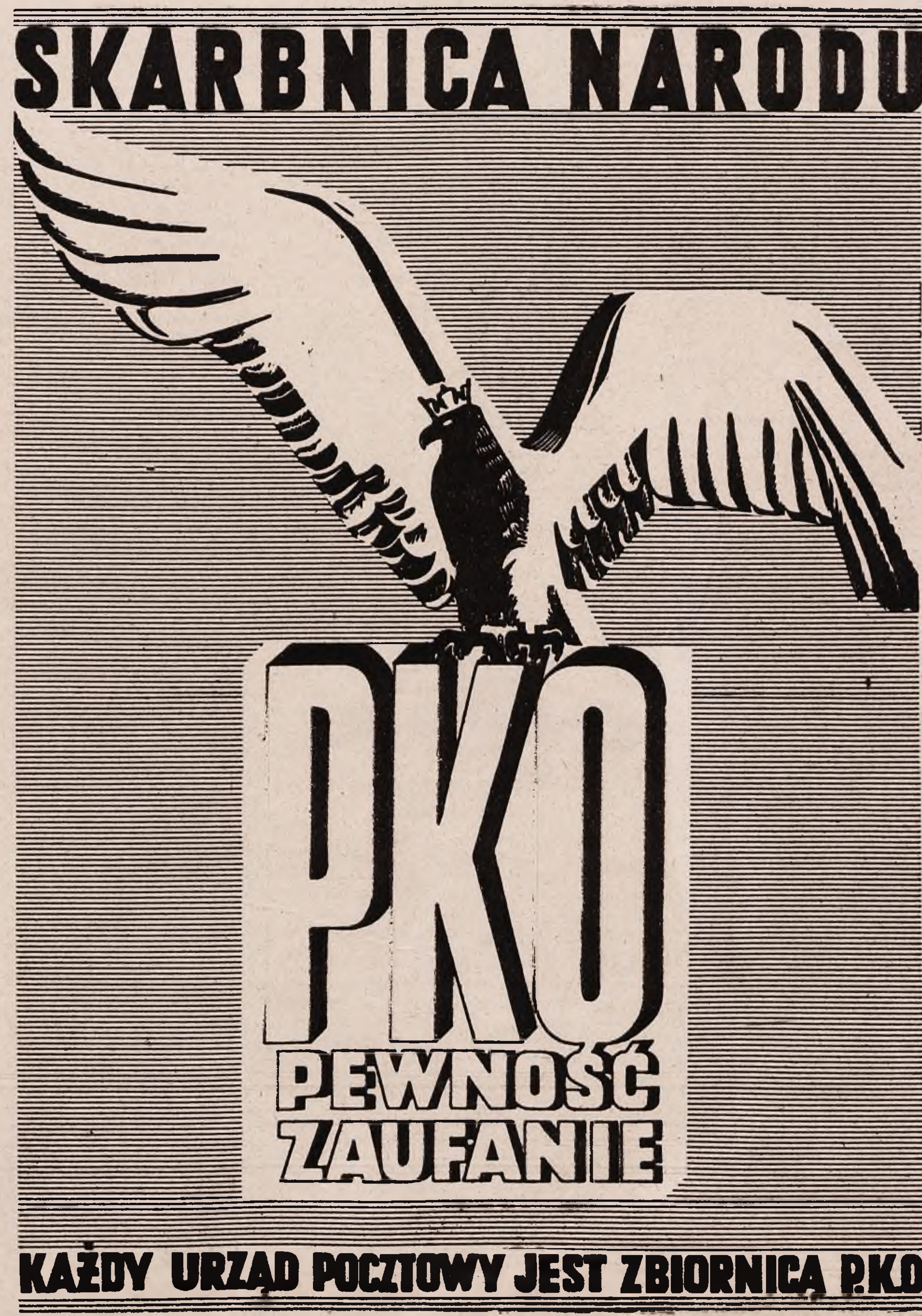
za kulisami zdradza lekkie podniecenie i zdenerwowanie.

— Trzy lata nie byłam na scenie — mówi swym niskim, ciepłym głosem. — To przecież kawał czasu, nieprawdaż? Żyłam przez ten czas w tak różnych warunkach, tyle nowych twarzy, wrażeń, ustawiczna zmiana otoczenia — bawiłam w Italji, Szwajcarji, Jugosławji i we Francji — że zdawało mi się, iż już nigdy nie potrafię się nagiąć do surowej dyscypliny pracy w teatrze i że już wogóle nie potrafię grać, chociaż przez ten cały czas nie zapominałam o scenie i gdzie tylko mogłam, studjowałam sztukę w jej możliwie najlepszej formie. Zwłaszcza Paryż, gdzie przebywałam kilka miesięcy, dostarczył mi do moich studjów mnóstwo bogatego materjału.

Obawy pani co do jej gry okazały się bezpodstawne — robię uwagę. — Nie odczuwa się zupełnie tak długiej przerwy w ciągłości pracy.

— O, to tylko dzięki temu — odpowiada pani Stefanja z uśmiechem — że gram w Teatrze Polskim. Po powrocie do kraju miałam kilka propozycyj, wybrałam jednakże Teatr Polski, w którym zaczęłam i w którym czuję się naprawdę między swoimi.

Ord.



Śmigiel
miasto wiatraków



Nie będę tutaj opisywał historji tego, niedaleko Poznania położonego miasteczka, gdyż można je znaleźć w każdej encyklopedji. Pragnę tylko przytoczyć parę ciekawych a napewno szerokim rzeszom Czytelników nieznanych szczegółów z przeszłości tej „polskiej Holandji" — z przeszłości, o której nie wspominają ani kroniki miasta, ani encyklopedje.

* * *

Pierwsza połowa XVII. wieku jest świadkiem zbrojnego zatargu między mieszczaństwem Śmigla i pobliskich Rakoniewic. — Burmistrz Śmigla na czele 56 uzbrojonych pachołków miejskich, wybrał się o świcie dnia 16. VIII. 1656 r. i przełamał opór zaspanych halabardników rakoniewickch. Ofiarą napastników padła kasa miejska, w której znajdowała się znaczna na owe czasy suma, 655 złotych polskich, nie licząc insygniów burmistrzowskich, jak pozłacany łańcuch i miecz, którego prawo noszenia nadane zostało burmistrzowi miasta Rakoniewic reskryptem Władysława Laskonogiego. O napadzie poskarżyli się rakoniewiczanie komendantowi wojsk szwedzkich, stacjonowanych w Poznaniu, a ten wysłał porucznika Olafa Tirvassena w celu zaprowadzenia porządku. Pikantnym szczegółem tego zatargu jest to, że porucznik Tirvassen pozostał w Śmiglu, zakochawszy się w siostrzenicy miejscowego cyrulika, nadobnej białogłowie Marcjannie Kopytkównie. Rodzina Tirvassenów przetrwała w Śmiglu do połowy XVIII wieku, ciesząc się ogólnym szacunkiem, nazwisko ich jednak uległo lekkiej zmianie. Już za Augusta III znajdujemy spolszczoną formą Tyrwasa. Tyrwasowie wymarli dopiero w końcu XVIII wieku, w czasie zarazy morowej, jaka nawiedziła Śmigiel i okolicę.

Ciekawe było zachowanie się francuskiej „Wielkiej Armji" w 1812 roku w Śmiglu. Jak wiadomo, po zwycięstwie pod Jeną, jenerał Jan Henryk Dąbrowski zmierzał prosto do Poznania. Wiemy tylko tyle, że deputacja miejska ze Śmigla witała go na drodze, którą jechał o kilkadziesiąt kilometrów od miasta. Tradycja ustna, przechowywana w Śmiglu, jest dla jenerała Jana Henryka Dąbrowskiego niezbyt przychylna. Kiedy zobaczył śmiglan, stojących na drodze z odkrytemi głowami, przybyłymi żeby go powitać, krzyknął zniecierpliwiony:

— Proszę Waszmościów, na uroczystości później będzie czas, kiedy Ojczyźnie naszej, w sromotnej niewoli jęczącej, wolność utraconą powrócimy. Zamiast tedy stać na drogach i jak te sroki w gnat we mnie patrzeć, winniście Waszmoście do pieleszy swych co rychlej powrócić i osobami własnemi kadry Regimentów Poznańskich zasilić. Do domu więc Waszmoście — a nuże!

Śmiglanie całkiem ogłupieli i do Śmigla wróciwszy, natychmiast własny oddział sformowali, który potem po pułkach poznańskich rozdzielony został.



Kościół parafjalny w Śmiglu (początek XIX w.)



Ogólny widok Śmigla.

Kiedy marszałek Davoust przejeżdżał przez Śmigiel na dłuższy odpoczynek do pałacu hrabiów Mycielskich w Kobylepolu, zapytał się, co to za miasto.

— Śmigiel — odkrzyknęło pospólstwo na rynku.

Cały sztab marszałka, usłyszawszy odpowiedź, ruszył galopem i zatrzymał się dopiero za miastem. Marszałek był zdumiony.

— Czemuście uciekli? — zapytał.

— Panie marszałku, oni chcieli nas oblać wodą.

— Jakto wodą?

— Powiedzieli przecież: śmigiel, a to w Polsce znaczy oblewanie wodą!

Długo trwało nim sprawa się wyjaśniła: okazało się wkońcu, że adjutant marszałka, znający słabo polski język, pomylił słowa. Śmigiel i śmigus, co, jak wiemy, oznacza wielkanocne „oblewanie".

Ponieważ księgi miejskie z tego okresu uległy pożarowi — informacje moje opierają się na ustnej legendzie, powtórzonej mi przez pewną, przeszło 90-letnią staruszkę.

Okazuje się, że niejednego ciekawego zdarzenia świadkiem było to miłe, ciche a jakże pracowite miasto nad Obrą.

W okolicach Śmigla stało zawsze tylko 99 wiatraków, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy zbudowano setny wiatrak, to jeden z poprzednich się palił. I tak było za każdym razem, aż wkońcu zaniechano budowy nowych wiatraków.

Najcenniejszym zabytkiem Śmigla, który naprawdę warto zobaczyć, jest stary, bo z XIII wieku pochodzący kościółek pod wezwaniem św. Wita. Środek kościółka jest gotycki, a boki renesansowe. Kościół ten zbudowano w 1296 roku. Wielki ołtarz jest podobno dziełem Wita Stwosza. Ciekawą częścią kościółka jest drewniana wieżyczka.

Mieczysław Dunin-Borkowski.



Jeden z 99 wiatraków w okolicach Śmigla.

RYSUNKI: WITOLD GAWĘCKI



Drewniana wieżyczka kościółka św. Wita w Śmiglu (XIII w.).

Sylwetki:

SAMOTNIK Z PLESSIS-LES-TOURS





SZKIC HISTORYCZNY — Dr. ZBIGNIEW MEHOFFER

Problem autorytetu i władzy jednostkowej, wysoce aktualny w chwili obecnej, wywołał wyraźne zainteresowanie szerokich sfer dla wielkich postaci historycznych, zwłaszcza wodzów i organizatorów. Monografje Cezara i Napoleona były niezwykle poczytne. Ludzkość przeżywa tęsknotę za wszelką wielkością. Pragnąc iść po linji tego rodzaju zainteresowań, postanowiliśmy stworzyć na łamach „Asa" dział „Sylwetek", gdzie od czasu do czasu umieszczać będziemy szkice dotyczące ciekawszych, czasem nawet stosunkowo mniej spopularyzowanych postaci historycznych.

Red.

Gdy widzimy dzisiejszą Francję w stanie rozprzężenia politycznego i zanarchizowania życia przez ciemne moce toczące jak robak organizm tego wspaniałego państwa, ani na chwilę nie opuszcza nas przekonanie, że upadek to przejściowy, z którego niewątpliwie wydźwignie się ten mądry, kulturalny i doświadczony naród, że geniusz jego rasy wcześniej lub później dojdzie do głosu i poprowadzi go dalej na żmudnej drodze wielkości. Wśród ciężkich prób zrodziła się wielkość Francji; chwile, które obecnie przeżywa, są niczem w porównaniu ze straszliwą anarchją, demoralizacją i rozprzężeniem, w jakie popadła ona w ciągu „potopu" stuletniej wojny z Anglją. A mimo to czekały ją potem wieki jeszcze chwały, gdy przodowała pod każdym względem innym narodom Europy.

Dzieło ówczesnego wydźwignięcia się z dna upadku, łączy się nierozerwalnie z dwiema wielkiemi postaciami dziejów Francji XV-ego wieku, stanowiącemi niezwykły wprost kontrast. Gdy płomienny i czysty duch Dziewicy Orleańskiej ulatywał z ponad stosu w Rouen, los najeźdźców angielskich we Francji był już właściwie przesądzony. Jednakże dokończyć dzieła odbudowy, a mianowicie dokonać odrodzenia potęgi i spoistości kraju, miał już całkiem kto i n n y, ośmioletni wówczas chłopak, delfin Ludwik, późniejszy ponury, wytrwały, okrutny i pozbawiony skrupułów król Ludwik XI.

Dzieło życia tego wielkiego monarchy jest imponujące. Aby je ocenić, trzeba sobie uprzytomnić czem była politycznie Francja wieku XV-ego. Oto feodalizm jako system porządku społecznego zdegenerował się i stał się elementem anarchji. Terytorjum dzieliło się na domeny królewskie własne, poprzedzielane (w sumie znacznie obszerniejszemi) wielkiemi lennami różnych gałęzi Kapetyngów, stanowiących wielkie książęce domy, Orleanów, Anjou, Bourbon, Artois, Alençon. Na północy książęta Bretanji właściwie zupełnie samodzielni, na wschodzie księstwo Burgundji, stanowiące wielkie potężne i bogate państwo, jako, że władcy jego panowali poza tem nad całem terytorjum dzisiejszej Belgji, Holandji i Luxemburgu.

Wszyscy ci książęta krwi sprzedajni i chciwi, prowadzili własną politykę, zmierzającą jedynie ku zwiększeniu swych posiadłości i toczyli, gdy zaszła tego potrzeba, otwarte wojny ze swym suwerenem — królem Francji, łącząc się bez skrupułu z wrogiem zewnętrznym przeciw swemu monarsze, zdradzając go na każdym kroku zależnie od konjunktury.

Pod niemi arystokracja feodalna, okrutna, zgangrenowana stuletnią wojną, bez żadnych więzi moralnych. Zdziczenie owych czasów było wielkie: Taki Jan Luxemburski, aby zaprawić swego bratanka hrabiego de Saint-Pol w „rzemiośle wojennem", pozwala mu ku wielkiej jego przyjemności zarąbać 80 jeńców wojennych. Książę Bretanji każe zgładzić swego brata, książę Gueldrji swego ojca, pan de Giac swą żonę, hrabina de Foix swą siostrę, król Aragoński swego syna. Słynny Gilles de Retz (substrat legendy o Sinobrodym) porywa dzieci po miastach i siołach, aby je okrutnie mordować jako ofiary swych straszliwych obrzędów czarnoksięskich. We wieży jego zamku Chantocé znaleziono pełną beczkę kości — szczątki czterdziestu ofiar. Ogółem miało ich być około 140.

Nad takiem to społeczeństwem panowanie otrzymał w spadku po swym ojcu Karolu VII. 38-letni Ludwik XI, gdy w roku 1461 wstępował na tron. Jednakże otrzymał coś na dodatek: zorganizowany przez ojca skarb i własne wojsko królewskie z dobrą artylerją. Poza tem, co może najcenniejsze, przykład oparcia się w walce z anarchją feodałów na nowym czynniku ładu społecznego, na mieszczaństwie i ludzie.

Niezwykle ciekawe jest dzisiaj spojrzenie wstecz, na to instynktowne sprzymierzenie. Monarchja w swej słabości, lud w swej nędzy i poniewierce zbliżają się do siebie, aby się wspomagać w walce o porządek i praworządność, aby obalić panowanie arystokracji feodalnej, stanowiącej przeszkodę dla jedności i pomyślności państwa. Król staje się jakby wielkim rewolucjonistą swego wieku, w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Z rewolucji tej wyłania się jako jej rezultat potęga władzy królewskiej, absolutyzm wraz ze swym uciskiem, prowadzącym w ciągu wieków do nowych rewolucyj demokratycznych. A oto nasuwa się i analogja do naszych czasów. Czyż wielkie partje polityczne z okresu degeneracji parlamentaryzmu nie przypominają wielkich feodałów z okresu degeneracji feodalizmu? A szukanie oparcia dla idei państwowej przez jej przedstawicieli bezpośrednio w masach (Faszyzm), czy nie przypomina taktyki władzy królewskiej w XV wieku? Dziś już widzimy jak z tych rewolucyj, dokonanych w imię porządku, rodzi się absolutyzm monopartji i wynikający z niego ucisk omnipotencji państwa, który niewątpliwie doprowadzi znowu kiedyś do dalszych rewolucyj demokratycznych?

Ale wróćmy do Ludwika XI. Ciekawe przemiany duchowe przechodzi d z i w n y ten człowiek w ciągu lat. Młodzieniec niezwykle

inteligentny, z wrodzonym zmysłem do intrygi politycznej, łączył wielkie ambicje reformatorskie. Od wczesnych lat palił się do władzy i doczekać się nie mógł chwili, gdy ją obejmie. Już jako siedemnastoletni chłopak (1440) przyszły pogromca feodalizmu połączył się ze spiskiem wielkich feodałów przeciw królowi swemu ojcu. Sprawa się nie udała, na kolanach uzyskał przebaczenie króla. W cztery lata potem żenią go z córką króla Jakóba I szkockiego, piękną, dobrą i wykształconą Małgorzatą. Jednak zły syn okazał się także złym mężem. Urocza ta kobieta, pełna entuzjazmu dla poezji i wszystkiego co piękne, umiera w dwudziestym roku życia z uczuciem strasznego zawodu mówiąc: „Fi de la vie! qu'on ne m'en parle plus!".

Odesłany przez ojca do swego apanażu Delfinatu, Ludwik poczyna sobie zgoła dziwnie. Wywraca dogóry nogami cały porządek administracji tej prowincji, męczy go manja inowacji. Stara się przytem zjednywać sobie zwolenników, uszlachcając ludzi na prawo i lewo, tak, że „szlachta Delfina Ludwika" stała się przysłowiowa. Żeni się wbrew woli ojca z Charlottą Sabaudzką. Co gorsza znowu zaczyna spiskować. Gromadzi koło siebie wszystkich wrogów króla, intryguje z jego ministrami, zaczyna konszachty z księciem Alençonu, nałogowym buntownikiem, oraz z potężnym Filipem Dobrym, księciem Burgundji, najgroźniejszym wrogiem korony. Król wysyła wojsko na granicę Delfinatu. Zaskoczony tem Ludwik pisze pokorny i wykrętny list do ojca, w którym tłómaczy się, że jako gonfalonier św. Kościoła obowiązany jest na apel papieża połączyć się ze swoim stryjem Filipem w jego usiłowaniach zorganizowania krucjaty. Poczem w sześć koni wyrywa galopem z Delfinatu dopóki nie oprze się aż w Burgundji, gdzie chroni się pod opiekę Filipa Dobrego. Uzyskuje tam dobre przyjęcie. Opowiadaniem swych nieszczęść i przygód potrafi wzruszyć do łez starszawego księcia. Księżna Izabella ponoś płakała przytem jak fontanna. Karol VII. dowiedziawszy się o tem miał rzec: „Przyjął do siebie lisa, który mu wydusi jego kury". Lis tymczasem był pokorny i czarujący, zjednywując sobie wszystkich. Jednego tylko nie udało mu się uzyskać. Filip nie mógł się zdecydować oddać mu do dyspozycji odpowiedniej armji dla wojowania z ojcem. Wobec czego Delfin pisywał do króla po korne listy i intrygował dalej.

Tymczasem stary król Karol zmęczony ciężkiem życiem i wyczerpany opieką nad swoim licznym fraucymerem, umiera. Do ostatniej chwili obawiał się otrucia, powszechne bowiem było mniemanie, że ludzie, którym Delfin Ludwik nie sprzyja, nie żyją długo.

Wstąpienie na tron Ludwika przyjął świat feodalny z ulgą i radością. Wszak to ich dawny sprzymierzeniec jeszcze z roku 1440, obecnie przyjaciel i protegowany księcia Filipa, największego tuza z pośród nich. W 100-tysięcy lanc poprowadził książę Filip króla do koronacji w Reims. 140 wozów wiozło złote naczynia, kobierce, klejnoty i wina Dobrego Księcia. Pośród tego świetnego dworu Ludwik robił wrażenie szaraka. Skromny i układny, nie odmawiał niczego swemu możnemu protektorowi i innym swoim potężnym kuzynom. Obiecał wówczas wszystko — nie dotrzymał potem niczego.

Ludwik z całym wygłodzeniem władzy, które już od tylu lat stanowiło jego dramat, zabrał się do rządzenia. Odrazu wziął wielkie tempo, pełen impetu i optymizmu. Zabrał się do urządzenia swego skarbu i wojska, w związku z czem popodwyższał podatki. Zajął się sądownictwem oraz sprawami Kościoła i duchowieństwa, sprowadzając szereg przerostów do właściwej miary. Szlachtę feodalną zaczął natarczywie naciskać pod każdym pozorem, wystawiając im rachunki za zaległości pieniężne na dziesiątki lat wstecz, pozbawiając ich drobniejszych lenn. W wyniku, po czterech latach rządów miał przeciw sobie dosłownie wszystkich, bo nawet mieszczaństwo nie zrozumiało jeszcze jego intencji, a widziało tylko przy drogach publicznych dziesiątki szubienic ubranych obficie wisielcami.

Ludwik spostrzegł się, że gromadzi się burza. Odwołał się do opinji publicznej. Najpierw zebrał w Rouen przedstawicieli miast północy i poniżył się, on król, do usprawiedliwiania wobec mieszczan dotychczasowych swych pociągnięć. Potem zebrał książąt i z całą swoją zniewalającą wymową zaczął przemawiać do ich serc i umysłów, przedstawiając im swe życie, swe walki i trudy i plany dla dobra kraju. Wzruszył wszystkich tak, że przyrzekli mu spontanicznie wierność i poparcie. Ledwie się jednak rozjechali, już go zdradzili wszyscy. Powstaje koalicja przeciwko królowi pod nazwą Ligi Dobra Publicznego. Na firmanta wybierają książęta osiemnastoletniego brata króla, Karola księcia de Berry. Ludwik liczy jeszcze na pomoc swego dawnego protektora księcia Burgundji. Lecz właśnie dwunastego marca 1465 Filip Dobry popada w stan prostracji ducha i ciała, w której miał żyć jeszcze dwa lata, a kierownictwo spraw Burgundji bierze w swe ręce syn jego hr. de Charolais, zwany Karolem Śmiałym, osobisty wróg króla. 13 marca odmawia pomocy królowi książę de Bourbon, 15 go książę de Berry ogłasza swój manifest przeciw bratu, a 22-go Franciszek II książę Bretanji ogłasza się nieprzyjacielem każdego nieprzyjaciela księcia Burgundji, „nie wyłączając Króla Jegomości". Do tych deklaracyj dołącza się szlachta.

Ludwik nie traci głowy i zaczyna wojnę. Książę de Nemours, którego obsypał łaskami, oraz Jan V hr. Armaganc, skazany za króla Karola VII za liczne zbrodnie, którego ułaskawił wstępując na tron, wezwani na pomoc, przystają do jego wrogów. Hr. du Maine, któremu poruczył obronę przeciw Bretończykom, zdradza go, tosamo robi książę de Nevers wyznaczony przeciw Burgundczykom. 5 lipca Karol Śmiały bez przeszkód jest już pod Paryżem. Ludwik, który sam rzucił się na południe i zdobył tam kilka miast, zawraca ku Paryżowi — rozumie, że od stanowiska, jakie zajmie to miasto zależą jego losy.

Pod Montlhéry natrafia na wojsko hr. de Chorolais i przejeżdża po brzuchach jego lewego skrzydła. To samo robi Karol Śmiały w stosunku do lewego skrzydła armji królewskiej. Wojska minęły się jak w kołowrocie. Karol Śmiały pozostaje na placu boju i odtrąbia zwycięstwo, ale Ludwik wchodzi do Paryża, uzbraja mieszczan, przybiera sobie doradców z ich grona i opanowuje sytuację. W łonie koalicji tymczasem zaczynają się niesnaski. Powoli nadciągają młodzi książęta de Berry i Bretanji ubrani dla wygody w zbroje z atłasu, naśladującego żelazo, ze złotymi gwoździami po wierzchu. Karol Śmiały natrząsa się z nich ile wlezie, a zwłaszcza z księcia de Berry, który już zaczyna budzić nieufność jako kandydat na króla.

Ludwik, choć osobiście bardzo dzielny, wyczuwa jednak, że naprawdę niezawodnem narzędziem przewagi nad przeciwnikami będzie nie jego ramię, lecz głowa. Śmiały ten dyplomata i intrygant, zaczyna paktować na wszystkie strony. Schlebia i grozi, a przedewszystkiem stara się szczuć na siebie członków Ligi. Żądania wszystkich panów są ogromne, Ludwik przyrzeka wszystko. Oto jak podchodzi do najgroźniejszego swego przeciwnika Karola Śmiałego.

Pewnego ranku podpłynął łodzią ku brzegowi rzeki, gdzie oczekiwali go hr. Charolais i hr. Saint-Pol. Na brzegu miał król dwieście koni eskorty, w łodzi jednak tylko sześciu ludzi. „Mój bracie, czy mi poręczasz?" — zawołał do Karola. — Tak jest Miłościwy Panie — jako brat!" — odpowiedział hrabia. Wówczas Ludwik przybił do brzegu i wysiadł. Obaj hrabiowie przywitali go stosownie do jego godności.

„Mój bracie — zabrał głos król — poznaję, żeś jest szlachcicem z królewskiego domu Francji".

„A to dlaczego Miłościwy Panie?" — zapytał Karol Śmiały.

„Czy pamiętasz, jak posłałem swych ambasadorów do Lille, do mego stryjca

Ciąg dalszy na str. 12.

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!



„Na wodach Morza Północnego" — Fot. M. Lissowski Warszawa.



„Flirt z nosorożcem na wystawie w Glasgow" — Fot. M. Lissowski. Warszawa.



„W obozie kajakowców" — Fot. Emilja Kwaśniewska. Lwów.



„Zmotoryzowana trójka na wywczasach" — Fot. Rajmund Kacowski. Chodorów.



„Z wiatrem w zawody" — Fot. W. Witkowski. Koszawka.



„Odpoczynek po spacerze" — Fot. Irena Rusecka. Łódź.

Ciąg dalszy ze str. 10.

a twego ojca, i jak ów narwany Morviller tak skutecznie do ciebie przemawiał? Kazałeś mi potem powiedzieć, że nie minie rok, a pożałuję tych słów, które przyszło ci usłyszeć. No i dotrzymałeś obietnicy jeszcze prędzej niż obiecałeś".

Wypowiedział to Ludwik dobrodusznie i z uśmiechem, wiedział nieomylnie, że na taki właśnie haczyk łowić należy Karola. Potem dodał jeszcze: „Z takimi właśnie chcę mieć sprawy, co dotrzymują obietnic".

Pokój wreszcie zawarto w 1465 r. Wszyscy feodałowie obłowili się przytem kosztem króla i korony; dostali prowincje, miasta, gubernatorstwa, lub wysokie pensje. „Dobru Publicznemu" stało się zadość.

Najboleśniejsze dla Ludwika było to, że musiał oddać księstwo Normandji swemu bratu. Było to otwarcie bramy do Francji dla Anglików, którzy ciągle jeszcze czyhali po drugiej stronie kanału.

Wyobrazmy sobie teraz, jakie ślady cała ta sprawa pozostawiła na psychice Ludwika. Wywinął się wprawdzie, ale wyszedł ograbiony i pokonany. Sprawdził na swej skórze, że wszyscy, na których liczył, po kolei go zdradzali, przekonał się, że prostą drogą idąc i chcąc apelować do uczuć narodowych, nic nie wskóra, no i wreszcie, że nie można robić wszystkiego naraz. Jakież pokłady goryczy, gniewu i nienawiści nagromadziły się w sercu tego z natury niezbyt słodkiego człowieka! Lekcja była dobra, a uczeń pojętny. Krwawymi łzami zapłacą jeszcze kiedyś jego wychowawcy". Ale Ludwik weźmie się do nich już inaczej; po kolei, po jednemu wykruszać będzie i niszczyć wrogów korony.

Nie minął rok, a zdołał już odebrać bratu Normandję, wyznaczając mu w zamian 60.000 liwrów apanażu. Przedtem jednakże posłał 120.000 dukatów w złocie księciu Bretanji, aby go skłonić do spokojnego przyglądania się tej egzekucji na jego dawnym towarzyszu. Aby zaś Karol Śmiały niepotrzebnie się nie wtrącał, Ludwik zainscenizował mu w jego potężnych miastach flandryjskich Gandawie i Leodjum bunt, podżegając mieszczan przez swych emisarjuszy. Leodyjczycy napadli i wygnali swego biskupa Ludwika de Bourbon, wspólnego kuzyna króla i hrabiego Charolais. Był to zresztą lekkomyślny młodzieniec, który w imieniu księcia Burgundji wyduszał z wolnego miasta co się tylko dało, aby mieć z czego zaspakajać swe namiętności.

Równocześnie król Ludwik nowymi łaskami ugłaskał wszystkich innych feodałów, a przedewszystkiem Jana księcia de Bourbon wielkorządztwami, jego brata Piotra de Beaujeu ręką swojej córki Anny i t. d. aż do przyjaciela Karola Śmiałego z lat dziecinnych hrabiego de Saint-Pol włącznie, którego zrobił koniecznem.

Hrabia de Charolais, który właśnie wówczas przez śmierć księcia Filipa Dobrego, swego ojca, został księciem Burgundji, osamotniony nie mógł ani drgnąć. Ludwik mógłby był wówczas zaryzykować z dużemi możliwościami powodzenia orężne rozprawienie się z nim. Zgodnie jednak ze swą naturą wolał zaufać swojej dyplomacji.

Pamiętał, że w ciągu ostatnich wojen trzy po kolei wielkie bitwy zgubiły Francję. Uważał, i to nie bez racji, że wynik każdej wojny zbyt jest wątpliwy i zależny od przypadku. Zdobywa się więc na pociągnięcie à la Chamberlain. Proponuje Karolowi Śmiałemu odwiedzenie go i osobiste załatwienie wszelkich spraw. Królowi odradzają ten krok, jako zbyt ryzykowny, Ludwik jednak mając list żelazny księcia, uważa, że chyba wielki mistrz Złotego Runa nie mógłby się dopuścić tak skandalicznej zdrady, jak porwanie się na osobę swego gościa i suwerena. Jedzie. W Peronne w 1468 Karol Śmiały przyjmuje z honorami swego królewskiego gościa, ale w otoczeniu księcia spostrzega Ludwik swych najzawziętszych wrogów, choćby takiego pana de Châteauneuf, na użytek którego swego czasu własnoręcznie wyrysował projekt jednej ze swych słynnych klatek żelaznych, w których latami przetrzymywał poniektóre znamienitsze, a niedogodne dla siebie osoby.

Przystąpiono do obrad nad traktatem w nastroju dość spokojnym, gdy nagle donoszą księciu, że znowu Leodjum się zbuntowało i że biskup Ludwik Bourboński zamordowany z poduszczenia króla, (co zresztą było nieprawdą).

Wiadomość ta jednak wystarczyła, aby księcia wprawić w gniew straszliwy. Wyrzucając potoki przekleństw i gróźb, natychmiast każe podnieść mosty zamku i opuścić brony. Ludwik XI jest więźniem.

Co z nim zrobić? Taki wielki pan, jak król Francji, raz uwięziony, nie może być wypuszczony. Co gorsza nie może być przetrzymywany bez końca. Trzeba go zabić. No ale na co? Na to, żeby królem został ten pajac Karol de Berry, jego brat, zaprzedany w tej chwili księciu Bretanji? Życie króla wisi na włosku. Karol Śmiały nie spał tej nocy; to zrywał się, to chodził po pokoju. Rano zdecydował się wypuścić króla, jeśli ten zaprzysięgnie mu pokój, i pociągnie z nim razem na Leodjum, aby pomścić wspólnego kuzyna.

Leci z tym do króla. Gdy zaczyna mówić głos mu drży i choć składa ukłon przed majestatem, widać, że gotów jest na ostateczność.

Ludwik spokojnie odpowiada — zgoda; żądania księcia traktuje jakby były najnaturalniejszemi propozycjami. Pokój? — No tak, przecież na to tu przyjechał. — Pomście Bourbona! — No oczywiście... Książę jest zdumiony i uradowany. Żąda więc jeszcze Szampanji dla brata królewskiego. Ludwik ani drgnął — zgadza się.

Podpisują na gorąco traktat, zaprzysięgają go na krzyż, który nosił święty Cesarz Karol Wielki, a który zawsze znalazł się na zawołanie w walizce króla-dyplomaty. Odzywają się dzwony po kościołach, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Ludwik ma w sercu piekło. Najbardziej boli go cesja Szampanji dla jego brata. Wie dobrze co to znaczy: Szampanja to kraj, który dzieli Burgundję od flandryjskich posiadłości Karola Śmiałego. Dać ją bratu, temu bezwolnemu i wpływowemu młodzieńcowi, to tosamo co dać ją księciu Burgundji. To też gdy wracali z wyprawy po zdobyciu Leodium, żegnając się z księciem zagadnął go niespodzianie Ludwik:

— Jeśli przypadkiem mój brat, który jest w Bretanji, byłby niekontent z przydziału, który mu przyznaję z miłości do Was, cobyście chcieli abym zrobił?

Na to Karol Śmiały odparł nierozważnie:

— Jeśliby nie chciał Szampanji, spuszczam się na Ciebie Miłościwy Panie, byleby był zadowolony.

— „Byleby był zadowolony" — powtórzył sobie w myśli król i zamiast ubogiej Szampanji dał bratu bogate księstwo Guyenny z rezydencją w Bordeaux. Posłał go w ten sposób jak najdalej od księcia Burgundji i poróżnił z Anglją, która ciągle jeszcze rościła sobie prawa do tej prowincji.

Przez cały czas swego panowania stale Ludwik potykał się o osobę swego brata, ciągle i ciągle plącze się wśród spiskowców i buntowników ten lekkomyślny i ambitny młodzieniec. Teraz jako właściciel jednego z najbogatszych apanaży królestwa, zaczyna snuć plany wprost godzące w integralność państwa. Raz chce się żenić z jedyną córką Karola Śmiałego, Marją, co po śmierci tego księcia daloby mu potęgę większą od króla, kiedyindziej spiskuje z Anglją. Ludwik drży na samą myśl o tem, co może z tego wyniknąć. Po raz ostatni chce swego brata związać z losami Francji i pociągnąć ku sobie. Robi mu oferty wprost olśniewające. Karol jednak zamiast odpowiedzi zbroi się. Ludwik wierci się jak na torturach. To prosi papieża o pośrednictwo, to zarządza modły o pokój. Każe całej południowej Francji o południu klęknąć i zmówić trzy Zdrowaśki. Taki był początek „Anioła Pańskiego". Nic nie pomaga. Widocznie musiał wreszcie uciec się do środków skuteczniejszych, gdyż Karol uspokoił się na zawsze, przenosząc się na tamten świat.

Oto co mówią o tem współcześni pamiętnikarze: opat ze Saint-Jean-d'Angély, jałmużnik księcia Guyenny, zerwał i obrał osobiście brzoskwinię, którą podał pani de Montsoreau. Ta podzieliła się czule tym owocem z księciem. W dwa miesiące potem dama ta nie żyła, a w osiem miesięcy także i książę opuścił ten świat (1472). Ksiądz oskarżony o podwójne trucicielstwo przewieziony został do Bretanji i tam oddany pod sąd. Cóż kiedy pewnego ranka po burzliwej nocy znaleziono go martwego w więzieniu. Opowiadano, że djabeł go udusił. Akta procesu przekazano Ludwikowi XI i nikt ich już potem nie oglądał, a sędziowie, którzy wyświadczyli tę uprzejmość królowi, nie mogli się potem uskarżać na jego niewdzięczność.

Ludwik, który pierwszy z królów Francji otrzymał od kurji rzymskiej tytuł Króla Chrześcijańskiego, niewątpliwie bywał pobożny. Na jego kapeluszu przyczepiona była ołowiana plakieta z wizerunkiem Matki Boskiej. Król często zdejmował kapelusz, przyklękał i mówił pacierz przed tym wizerunkiem. Brantôme zapewnia, że błazen królewski usłyszał raz taką modlitwę: „Ach! moja Dobra Pani, moja Wielka Przyjaciółko, w której zawsze znajduję pocieszenie, proszę Cię wstaw się do Pana Boga za mnie i bądź

Dokończenie na str. 14.





„DWIE ARMJE"

Fot. A. Naruszewicz — Kowno.

Dokończenie ze str. 12.

moją orędowniczką przed Nim; niech mi przebaczy śmierć mojego brata, którego kazałem otruć przez tego wstrętnego księdza. Spowiadam się Tobie z tego, ale cóż miałem począć? Ciągle tylko niepokoił moje królestwo. Uzyskaj dla mnie przebaczenie moja Dobra Pani, a ja już wiem dobrze, co Ci ofiaruję".

Czy Ludwik otruł brata, czy nie — niewiadomo. Fakt, że ucieszył się jego skonem rzetelnie. Śmierć ta pokrzyżowała wszystkie plany Karola Śmiałego. Wściekły, wydał manifest, oskarżający króla o bratobójstwo. Uważał się też za upoważnionego do wkroczenia w granice krajów koronnych, mimo iż nie minął jeszcze termin rozejmu między nim a Ludwikiem. Przysięgał przytem, że utopi swą zemstę we krwi. To też zdobywszy podstępem miasto Nesle rozkazuje wyciąć w pień wszystko co żywe. Mężczyźni, kobiety i dzieci schroniły się do kościoła; wymordowano ich tam do ostatniego. Książę Burgundji wjechał tam na koniu, przeżegnał się i powiedział: „Na św. Jerzego — moje dzieci — zrobiliście tu ładną rzeźnię". Miał rację — krwi było na pół stopy przynajmniej.

Nie poszło mu dalej tak łatwo jak w Nesle. Po Francji znać już było wkład wieloletniej pracy Ludwika. Miasta nie otwierały tak łatwo swych bram każdemu, komu zachciało się wojować z królem, a ufortyfikowane były dobrze. Niedarmo Ludwik, poza całym szeregiem praw wydanych dla ich podniesienia, udawał jeszcze w Paryżu mieszczanina, chodził prawie sam na kolacyjki do Hesselin'a, trzymał mieszczanom dzieci do chrztu i nazywał siebie ich kumotrem. Królowa chodziła na obiady do pierwszego prezydenta parlamentu, a także codziennie na mszę do Panny Marji. To też miasta przekonały się do króla i dały należytą odprawę księciu Burgundji; połamał sobie na nich zęby. Bohaterska obrona Beauvais, w której kobiety na murach rąbały siekierami szturmujących Burgundów, zadecydowała o końcu tej kampanji. Karol jak niepyszny wrócił do siebie.

Teraz zabrał się Ludwik do wyrównania swych dawnych porachunków z tymi wielkimi feodałami, którzy zawdzięczając mu tyle, tyle też razy bezwstydnie go zdradzali. Zaczął od księcia Alençonu. Król oddał 66-letniego księcia pod sąd parlamentu, rozdawszy rozsądnie uprzednio dobra oskarżonego sędziom. Książę skazany na ucięcie głowy, z łaski tylko do śmierci pozostał w turmie. Teraz chodziło o jego syna hr. de Perche. Młody ten człowiek otrzymał szereg przestróg, że król czyha na jego życie. Alarmowano go tak wielokrotnie celowo, aż nerwy odmówiły mu posłuszeństwa i przygotował swą ucieczkę do Anglji. To wystarczyło aby go uwięzić i zamknąć w żelaznej klatce, gdzie przesiedział 12 tygodni. Brak jednak było oczywistego dowodu jego zdrady. Lecz zjawia się nagle w nocy dozorca, który budzi go i oznajmia możliwość natychmiastowej ucieczki. Podsuwa mu pióro i inkaust, aby napisał list do księcia Bretanji z prośbą o azyl. Oszalały młodzieniec pisze swój własny wyrok dożywotniego więzienia.

W podobny sposób wykończył Ludwik wielkie domy Armagnac'ów, Nemours i Saint-Pol, przyczem Konetabla de Saint-Pol skazano i ścięto z takim pośpiechem, że wyglądało to, iż ludzie króla działający przy tem nie chcieli zostawić mu dość czasu na zeznania, które mogłyby ich samych skompromitować wobec Ludwika. Ten ostatni długo jeszcze potem nie mógł odżałować,

że nie dopilnował bardziej „wyczerpującego" przesłuchania hrabiego wśród odpowiednich tortur, nie wątpił, iż byłby się dużo ciekawych rzeczy dowiedział.

Ostatnie lata swego życia obrócił Ludwik XI na wydarcie Habsburgom francuskiej części spadku po Karolu Śmiałym. Chodziło o Burgundję, Franche Comté, Picardję i Artois. Jedyna córka i dziedziczka Karola Śmiałego Marja, wniosła swe olbrzymie wiano w dom Habsburgów przez małżeństwo ze synem cesarza Fryderyka III. Maksymiljanem, późniejszym cesarzem. Ludwik mieczem i piórem tak długo wojował, aż w 1482 pokojem w Arras osiągnął swój cel.

Ciekawy i dramatyczny jest moment, gdy wysłannicy stanów flandryjskich udawali się do króla, aby z nim ubić ten interes. Otóż król Francji, który niezmordowaną swą działalnością zajmował całą Europę, który paktował, intrygował i wojował, który utrzymywał surową dyscyplinę wewnątrz swego państwa, tenże król uchodził ogólnie za męża w pełni sił fizycznych. Kazał też kupować dla siebie ogromnym kosztem lwy w Afryce, muły w Sycylji, reny w Szwecji, konie w Anglji, psy w Hiszpanji, jakgdyby był niezmordowanym myśliwcem. Wysłannicy Flandrji przybyli do tego monarchy do zamku Plessis-les-Tours, gdzie rezydował. Ze zdziwieniem spostrzegają, że to raczej forteca, więzienie, a nie zwykły zamek. Wszędzie żelazne kraty, drzwi żelazne, mosty, wieże, zbrojna straż łuczników szkockich. Gdy przebyli wszystkie te zapory, wprowadzono ich wieczorem do malej mrocznej izby, gdzie w rogu spostrzegli człowieka prawie całkiem zakutanego w bogate futra. To był Ludwik XI. Od dwóch lat sparaliżowany, czując że zamiera, jednak zajmował sobą całą Europę, coraz bardziej nieufny i twardy w miarę, jak zanikały siły, czepiający się z całej mocy życia i władzy.

Z trudem wymawiając słowa, oświadczył posłom, że nad wyraz mu przykro, iż nie może na ich powitanie powstać, ani zdjąć kapelusza. Potem kazał przynieść Ewangelję, na którą miał zaprzysiądz zawarty układ. „Czy nie weźmiecie mi za złe jeśli zaprzysięgnę lewą ręką, — bo prawą mam nieco

słabą?" — zapytał. Była ona już prawie całkiem martwa. Jednakże Ludwikowi przychodzi nagle na myśl, że przysięga lewą ręką mogłaby być może kiedyś uznana za nieważną, jeśliby komuś na tem zależało. A przecież chodzi tu o połowę spadku po owym potężnym Karolu Śmiałym, z którym walczył przez całe swe panowanie. Najwyższym wysiłkiem woli pokonywuje martwotę swego ciała. Sparaliżowana ręka porusza się — król zdołał dotknąć Ewangelji prawym łokciem.

Tym ruchem przyłączył do korony cztery prowincje. Razem w ciągu swego panowania przyłączył ich jedenaście. Mając lat 60 umiera jako zupełny starzec, ale trudy, które przedwcześnie go powaliły — opłaciły się: wielkie domy feudalne zniszczone, władza królewska silna, kraj bogaci się handlem i przemysłem. Za inicjatywą króla powstaje w Tours przemysł jedwabniczy, rozwija się górnictwo i drukarstwo. Ludwik pierwszy organizuje pocztę, buduje drogi, a równocześnie potrafi zapewnić ich bezpieczeństwo. Nieubłaganie ściga wszelką anarchję.

Surowość jego wymierzona nietylko przeciw wielkim panom. Także mieszczanie i chłopi poczuli jego twardą rękę w chwilach oporu przeciw podwyżkom podatków. Wielu z nich zawisło na szubienicach lub spłynęło na falach rzecznych, zaszytych w skórzanych workach, z napisem: „Przepuśćcie wymiar sprawiedliwości królewskiej!"

Król ma wielu wiernych i oddanych sobie ludzi, z niskiego stanu pochodzących. Najbliższymi jego zaufanymi byli Olivier le Daim, jego balwierz, zwany ogólnie „Olivier le Diable" i uważany za złego ducha króla, Coictier, jego medyk, Comines, pamiętnikarz i historyk (któremu zawdzięczamy obfite wiadomości o całej polityce Ludwika XI) i Tristan l'Hermite, którego urząd, przełożony na dzisiejszy język, możnaby nazwać „szef bezpieczeństwa publicznego".

Śmierć króla nastąpiła 30 sierpnia 1483. Ludwik za nic nie chciał umierać i starał się do ostatniej chwili odpędzić od siebie widmo śmierci. Od króla Neapolu uzyskał, aby tenże mu przysłał św. Franciszka à Paulo, przed którym padł na kolana, by mu zechciał przedłużyć życie. Sułtan Bajazet posyłał mu relikwje, znalezione w Konstantynopolu. Z Reims kazał Ludwik sprowadzić świętą ampułkę i miał podobno zamiar namaścić sobie całe ciało olejem, którym namaszczano królów Francji przy koronacji. Wśród ludu krążyły ponure wieści, że tyran pije krew dzieci, aby zamierającemu ciału przywrócić siły młodości.

Prosił swych bliskich, by mu powiedzieli, gdy będzie się zbliżać ostatnia godzina. Tak się też stało; wówczas Ludwik pogodził się z losem i sprowadził do siebie swego syna, by mu dać szereg dobrych rad, co jest ustalonym zwyczajem umierających królów.

Jego następca Karol VIII. miał wówczas lat 13 i z wszelką racją można go było uważać za niedorozwiniętego umysłowo. Ludwik cierpiał nad tem, ale mawiał, że synowi jego wystarczy, jeśli zrozumie dobrze sens słów: „Qui nescit dissimulare, nescit regnare" (kto nie umie udawać, nie umie panować).

Opiekę nad małoletnim królem powierzył Ludwik córce swej Annie de Beaujeu, która łączyła w sobie wiele cech charakteru swego ojca. „To najmniej szalona kobieta na świecie, bo mądrych niema wogóle" — mawiał o niej z uznaniem Ludwik. Widocznie nie bardzo cenił umysły niewieście. Kto wie, czy nie zraził się do nich jeszcze zamłodu, oglądając babskie gospodarstwo na dworze swego ojca.

Z TAŃCEM I PIOSENKĄ przez ziemie Śląska Cieszyńskiego.



Ciekawą dziedziną w życiu ziemi Zaolzańskiej jest uprawa winnej latorośli, z której powstaje szlachetny trunek, nadający charakterowi Francuzów miłe piętno w postaci życiowej werwy i przysłowiowego „esprit". Już w pierwszej połowie XIII wieku znajdujemy w aktach odnoszących się do osiedlenia Benedyktynów w Cieszynie wzmianki o uprawie winnic a jedna z dzielnic miasta zachowała nawet nazwę Winiary.

Na początku XV wieku istnieje w Cieszynie osobny cech winiarski, zajmujący się organizowaniem sprzedaży tego trunku. Do cechu tego mogli należeć tylko mieszczanie: prowadzą oni zresztą długie i niejednokrotnie bardzo zacięte i krwawe spory ze szlachtą okoliczną, chcącą przejąć w swe ręce intratną sprzedaż wina i piwa. Najlepszym dowodem intratności sprzedaży tych trunków były liczne książęce przywileje na targi, gdzie sprzedawano wino i piwo.

W jednym z takich przywilejów czytamy: „Żeby zaś temu przedsięwzięciu Bóg nie szczędził błogosławieństwa swego, mają szynkujący za każdym razem dać kościołowi parafjalnemu kwartę wina". Jak w tej dziedzinie, tak też w wielu innych życiowych sprawach książęta cieszyńscy z domu Piastów otaczali swych poddanych nieustanną troską i pieczołowitością. Cenę wina przywiezionego i przeznaczonego do wyszynkowania, należało oznaczać „nie według pokrewieństwa, lub przychylności, lecz uczciwie podług jego wartości" (1580). Rewidowano też stale piwnice i nakładano kary na tych, którzy nie donosili o każdej ilości sprzedanych trunków.

Jak więc widzimy, tradycje piwa cieszyńskiego, które cieszy się w wielu dzielnicach kraju naszego wybitną sympatją, sięgają dawnych wieków a sam przemysł winny i piwny grał niebyle rolę w życiu społeczeństwa. Oba trunki były i pozostały ulubionym napojem nietylko szlachty, ale również ludności wiejskiej, z której powstały kadry miejscowej polskiej inteligencji.

Podane poniżej teksty ludowych piosenek dobrze charakteryzują życie Cieszyniaków, w którem wino, kobieta i śpiew grają dużą rolę.

Wyszło słoneczko napostrzód nieba,
Spomniało sie mi, że ci pisać trzeba.
Przyleciół słowiczek do mego okiynka i mi powiaduje,
Że mój ukochany listu oczekuje.
Tak żech jo wczas rano z łóżeczka wstała,
Do stola zasiadła,
Rozkłodóm papiór i zaczynóm pisać.
Leć pisemko w droge,
Bo ja iść nie mogym.
A jak przeidziesz do proga
Pochwal Pana Boga,
A gdy przestąpisz próg,
Pokłoń się odymie do samych nóg
A gdy przidziesz do miyszkanio jego
To tam zaklupoj do serduszka jego.
Potem go za rączkę prziwitej
I najpiyrsze słowa o zdrowi sie spytaj.
Pozdrawuyjm cie przez okiynko przez szkło,
Aby cie nie było teschno
Przyleciała tu gąska
Aż z Górnego Śląska
Skrzydłami trzasła
Lampa mi zgasła,
Celynder puk
A jo pod pierzyne fuk.

Wierszowane listy i przemowy bardzo są lubiane po obu stronach Olzy. I w nich powtarza się ulubiony temat wina, dziewczyny i śpiewu. Oto powinszowanie, jakie od starych jeszcze ludzi słyszał Wilhelm Król z Pastwisk:



Od góry: Sztuka ludowa na Śląsku Cieszyńskim: Serweta koronkowa z Koniakowa i dzban jabłonkowski z r. 1827 (Muzeum Cieszyńskie).

Śniło mi się nad samym rankym,
Że przyleciół anioł ze słotym wiankym;
Kazowoł mi rano wstać,
Tobie na miano winszować.
Tak ci winszujym
Chleba,
Nieba,
Wina beczke,
Szwarnóm dziyweczke,
Azy była pieknych lic,
A więcy ci nie trzeba nic.
Tak zostań z Bogym.

Powyżej: Rodzina góralska z Zaolzia przed chatą.

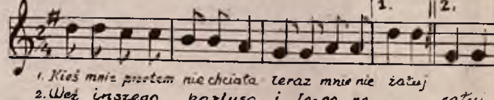
W wesołem życiu cieszyniaków obok wina, flirtu i śpiewu nie mogło braknąć oczywiście i swoistego tańca.

Poza walcami, które swą się tutaj „walcerami", mamy tu najrozmaitsze tańce figurowe, jak taniec weselny biały, kaczok kowol, mietlorz, szewc, hulan, krzyżok, kosajki, kocurek zagrodnik, podobny do trojoka z Górnego Śląska oraz tańce przyniesione tu z innych stron, jak polka, kozok, kołomajka, madziar lub wspomniane już walcery.

Melodje tych tańców posiadają podobnie jak krakowiaki, swoje przyśpiewki. Oto przyśpiewka z mietlorza:

Kieś mnie przetem nie chciała, teraz mnie nie żałuj,
Weź inszego karlusa i tego pocałuj.

Do tego tańca ustawia się ośmiu mężczyzn w jednym szeregu a naprzeciw siedem kobiet. Pomiędzy temi dwoma rzędami pozostaje tyle miejsca, aby się mógł uwijać „mietlorz" z miotłą, czyli ten ósmy tancerz, dla którego nie będzie pary. Kiedy muzyka zaczyna grać, „mietlorz" śpiewa przyśpiewkę i zamaszyście zamiata. Oczywiście, że goście bawią się serdecznie, gdy sobie upatrzy na ofiarę którąś z dziewczyn. Na zakończenie przyśpiewki uderza miotłą o ziemię. Wtedy każdy z tancerzy porywa czemprędzej jedną z kobiet, a ten, który zostanie bez pary, jest w następnej turze mietlorzem. Muzyka cały czas gra 8-taktową melodję w rytmie polki, wolniej kiedy mietlorz śpiewa a szybko i coraz szybciej, kiedy wszyscy tańczą.



„Mietlorz" pochodzi z okręgu jabłonkowskiego po zachodniej stronie Olzy, który obecnie powrócił do Macierzy. W tańcu tym wypowiadają się charakterystyczne cechy ludu cieszyńskiego. Gdy Górnoślązak jest ceremonjalny uroczysty lubi dowcip raczej rubaszny, to Cieszyniak odznacza się większą wesołością i niefrasobliwością. Jeżeli rozpatrzymy dalsze cechy charakteru, to obu braci ze Śląska cechuje przywiązanie do tradycji

Dokończenie na str. 20-tej.









GDY »GWIAZDY« ZSTĘPUJĄ NA ZIEMIĘ...









1: R. Taylor przeciw plotkom: Gwiazdor skarży się przyjacielowi na wzmianki o nim i Barbarze Stanwyck.

2: Don Juan i jego żona: A. Menjou musi znaleźć czas przynajmniej przy obiedzie dla swej ostatniej żony.

3: „Towarzysze broni": Hedy Kiesler, znana w Ameryce jako H. Lamarr, przebywa i poza atelier w towarzystwie Reginalda Gardnera.

4: Walka o miljony: „Cudowne dziecko" Jackie Coogan w rozmowie z matką, która wzbrania się zwrócić mu jego dawne zarobki.

Znamy takie pokoiki: jakaś uboga szwaczka czy też naiwna pensjonarka oprawia sobie fotografje słynnych „gwiazd" i „gwiazdorów" kina w ramki i zawiesza na ścianach — albo wkłada fotosy za ramy obrazów czy lustra...

Niejeden student nosi w portfelu fotografję ulubionej „gwiazdy", którą to fotografję zastąpi mu kiedyś realne życie fotografją narzeczonej, potem żony...

Ci ludzie marzą o świecie filmu i o „gwiazdach", a cała ich wiedza o tem wszystkiem, — co związane jest z „rajem" hollywoodzkim, ogranicza się właśnie tylko do marzenia, opartego na łatwostrawnych lekturach opowieści

(Dok. na str. 20-ej).



Na prawo: Między dwoma tańcami: Gary Cooper i małżonka jego Sandra Shaw w rozmowie z Franchot Tone w dancingu „Cocoanut Grove".



5: Uśmiech gwiazd: Anita Louise i Buddy Adlen na dancingu w „Ambassador Hotel" w Hollywood.

6: Idealne małżeństwo: Jackie Coogan i małżonka jego Betty Grable są entuzjastami tańca.



Na lewo: Jednym z najciekawszych zabytków Starej Pragi jest gotycka „Wieża Prochowa".

U STÓP HRADCZYNU

Nad miastem zachodzi jesienne słońce: domy do niedawna dokładnie widoczne, otulają się cieniem wieczoru. Za chwilę nad miastem unosić się będą tysiączne światełka, zabłysną lampy łukowe, znacząc świetlnymi kręgami ulice i place. Praga, stara Praga, której każda ulica przypomina jakieś wydarzenie historyczne, przestaje być wielkiem, nowoczesnem miastem o setkach tysięcy mieszkańców, stając się grodem legendy. W małych uliczkach podhradczańskich zdaje się snuć postać złowrogiego Golema, giganta wyniańczonego przez stare praskie podania, pałace, których frontony, zawsze poważne i ciemne, kryją, zda się, jakąś wielką tajemnicę, ożywają wspomnieniami przeszłości, stary zamek króla Wacława świętego zarysowuje na tle nieba swe spiczaste gotyckie wieżyce i barokowe, pełnokształtne kopuły.

Idąc ulicami Pragi, potężnej ongiś stolicy jagiellońskiego i habsburskiego królestwa, nasuwają się tysiączne refleksje, budzone głosem gazeciarzy, wykrzykujących tytuły nadzwyczajnych dodatków. Głosy te dziwnie rażą i odbijają się przykrem echem o stare kamienne mury miasta. Bo Praga dawna a dzisiejsza, Praga XVI. wieku i Praga Benesza, to dwa miasta, to dwa światy. Tysiączne epizody, walki, okoliczności złożyły się na pomniejszenie pięknej niegdyś stolicy, siedziby nauk i sztuk pięknych i uczynienia z niej stolicy małego państwa, którego byt już tylko zależy od łaski sąsiadów. Praga dzisiejsza i Czechosłowacja są jakże wyraźnym dowodem na to, że ten jedynie naród może, mimo swej fizycznej słabości, zwyciężyć, który posiada silną, świadomą swej roli, kulturę. A tego właśnie brakło narodowi czeskiemu, którego przeszłość nasiąkła obcemi wpływami, którego duch, literatura, sztuka itd. opierały się na obcych elementach, wprowadzających w jego strukturę polityczną nie dające się zatrzeć pęknięcia i zarysowania.

Od wieków walczą tam dwie kultury, dwa narody: czeski i niemiecki. Lecz nie zawsze walczą otwarcie: były czasy, kiedy narodowość czeska nie wchodziła w grę jako czynnik polityczny, gdy kultura narodowa, język, obyczaj miejscowy żyły niejako pod ziemią, w ukryciu. Z chwilą wygaśnięcia narodowej dynastji Przemyślidów (1306), kultura czeska coraz bardziej ustępowała niemieckiej, tem więcej, że tamtą popierała niemiecka dynastja Luksemburgów, a później Habsburgów, panujących na tych ziemiach od r. 1547. A gdy w XV wieku większość narodu czeskiego stanęła po stronie Husa, uważając go za reprezentanta swych narodowych interesów, katoliccy Habsburgowie tem silniejszą wywierali presję w duchu germanizacyjnym.

I wtedy to, z coraz większem wzrastaniem autokracji habsburskiej, przy coraz silniejszej przewadze elementu niemieckiego, większość szlachty czeskiej zaczęła przechylać się na stronę Niemców. Ostatecznym, jak wiadomo ciosem, wymierzonym w kulturą czeską, była bitwa pod Białą Górą w r. 1620, w której zginął kwiat czeskiej szlachty. Pokonfiskowane majątki tej szlachty wzbogaciły wiernych cesarzowi: powstało wtedy wiele fortun nowych, nagrodzono wielu przybyszów z różnych państw i w grono starej czeskiej szlachty, szczycącej się nieraz pochodzeniem od Przemyślidów, weszło wiele rodzin, obcych temu krajowi pochodzeniem i kulturą. Jak wielkie były te konfiskaty dowodzi choćby fakt, że Albrecht Wallenstein, późniejszy książę frydlandzki, nabył za 680 tys. talarów dóbr ziemskich, mających wartość blisko miljona, a w przeciągu kilku lat dobra jego, zwane księstwem frydlandzkiem, obejmowały aż 64 klucze! Nie tylko on jeden zrobił wtedy na zmianach politycznych duży majątek: Praga a zwłaszcza podnóże starego zamku królewskiego Hradczynu zaroiło się od nowych pałaców, wystawionych przez nowokreowanych arystokratów i miljonerów.

Jak zwykle w chwilach przewrotów politycznych, tak i wtedy wypływają nowe fortuny, oparte na wyjątkowych okolicznościach, w jakich powstały: jedną z takich postaci, pojawiających się na gruncie czeskim, to Jan Altringer, pochodzący z Luksemburga, który będąc feldmarszałkiem cesarskim, nabywa duże dobra w Czechach i staje się założycielem wielkiej fortuny obecnych książąt Clary-Aldringen (Teplitz). Złośliwi twierdzą, że ów feldmarszałek był z pochodzenia Żydem! Typowym przykładem zmian narodowościowych wśród wyższych stanów czeskich, był sam Wallenstein, potomek rodziny czeskiej, który dla karjery porzucił swą narodowość i wiarę (był poprzednio kalwinem).

Fakt, że licząc od połowy XVII wieku większość czeskiej szlachty przeszła do obozu niemieckiego, przyczynił się poważnie do upadku kultury czeskiej i literatury, któ-



Powyżej: W pałacu hr. Nostitzów znajduje się wiele polskich pamiątek.



Na lewo: Na ratuszu praskim zadziwia turystę wspaniały średniowieczny zegar o skomplikowanej maszynerji.

ła dopiero pod wpływem Palacky'ego, Safarika, Jungmanna i t. d., podniosła się w połowie XIX wieku. Wszyscy ci Wrbnowie, Wratislawowie, Chotkowie, Lobkowitze, Nostitze, Kolowratowie, Zdiarscy, Kotzowie, Martinitzowie itd. stawali się powoli Niemcami, zajmując wysokie stanowiska, gromadząc cenne zabytki, które widzimy po dziś dzień w pałacach praskich, odznaczając się polorem i wysokiej klasy ale nie czeską, tylko niemiecką kulturą.

Wędrówka po pałacach Pragi jest bardzo ciekawa i pouczająca. Tu w tych olbrzymich salach, komnatach pełnych obrazów, porcelany, pięknych książek i mebli, wyrabiała się kultura tego kraju, artystyczna i literacka, tu gromadzili się literaci i artyści, tu roztrząsano wielkie zagadnienia wieku, podobnie jak w pałacach wiedeńskich czy budapeszteńskich. Ale te wszystkie zdo-

bycze ducha i gustu, były kapitałem martwym dla samych Czechów, pierwotnych gospodarzy kraju.

Gdy wybierzemy się na wędrówkę po starej Pradze, mimowoli opanowuje nas czar tego pięknego miasta. Nie będę mówił o położeniu jego, które jest, jeżeli chodzi zwłaszcza o sam Hradczyn, wyjątkowo piękne, ale na każdym kroku frapują nas cenne zabytki przeszłości. Zacznijmy tę wędrówkę od starej wieży fortyfikacyjnej „wieży prochowej“ „Prohova turma“. Wiele domów „Vaclavske namesti“ to domy z czasów baroku, nieraz renesansu. Na końcu tej ulicy stoi wspaniałe muzeum nowoczesnej konstrukcji i pomnik wielkiego patrona Czech, świętego króla Wacława. A cóż powiedzieć o pięknych bulwarach nadwełtawskich! Szerokie, obsadzone bogato drzewami, dają one wrażenie wielkiej stolicy, w której nowoczesny ruch łączy się z cudnemi widokami na daleki (jakby mgłą spowity, Hradczyn, siedzibę królów czeskich, zamczysko pełne historji, wspomnień i łączące się z wielkiemi chwilami tego kraju. Podnóże zamku zaludniły pałace wiernych domowi habsburskiemu rodzin arystokracji czeskiej. Tam też znajdujemy piękny pałac książąt Fürstenbergów, którzy chociaż w Czechach od wieków mieszkali, niemieckiego są pochodzenia. Ogrody tego pałacu, opadające w nierównych kondygnacjach, tchną taką poezją i urokiem, jakichby trudno znaleźć gdzieindziej. Wspaniały portal prowadzi, podparty dwoma herkulesami, dźwigającymi barokowe ozdoby, do pałacu hr. Clam-Gallasów, jednej z wybitniejszych czeskich rodzin. Przypomina on może nieco pałace krakowskie, przypomina też wiedeńskie siedziby arystokracji. Niedaleko tego pałacu na niewielkim placu znajduje się bibljoteka Clementinum, zawierająca cenne dzieła. Na placu Maltańskim znów odznacza się piękny pałac hrabiów Nostitzów, jednej z największych czeskich rodzin. Pałac ten jest dla Polaka specjalnie ciekawy i godny widzenia: przechowują w nim przecież ni mniej ni więcej, tylko oryginał dzieła Mikołaja Kopernika „De revolutionibus orbium coelestium“, zdobią też jego ściany portrety króla Stanisława Augusta i inne polskie pamiątki. Skąd one się tam wzięły? Wytłumaczenie nie nastręcza większych trudności, skoro przypomnimy sobie, że ambasadorem cesarskim był przy dworze warszawskim hr. Nostitz, który pożyczył królowi większe sumy i za nie otrzymał od króla upominki w postaci wspomnianych cennych przedmiotów.



Na lewo: Muzeum narodowe i pomnik św. Wacława na „Vaclavske Namesti“.



Na prawo: Ogólny widok zamku Hradczyńskiego.



Powyżej: Staroświecka uliczka alchemików w okolicy królewskiego zamku.

W wspaniałych salonach pałacu spotykamy płótna największych mistrzów malarstwa: Rubensy, Rembrandty, obrazy Gerarda Dou i wielu innych. W bibljotece wisi portret króla Stasia: piękny, uśmiechnięty król zdaje się dumać w tym czeskim pałacu z miną wszystko wiedzącego, niczemu nie dziwującego się filozofa.

Ale spotkamy pamiątki polskie również w wspaniałej katedrze św. Wita: olbrzymi pomnik arcybiskupa hr. z Posławic Ankwicza zwraca naszą uwagę zarówno jako dzieło sztuki, jak też jako historyczne wspomnienie. Kołem opasują katedrę kaplice, poświęcone rodzinom, które w historji kraju największą odegrały rolę: Schwarzenbergów, Lobkowitzów, hrabiów Zdziarskych de Zdiar, Nostitzów, Kaunitzów i innych. Ale i tu na każdym kroku niemczyzna miesza się z kulturą pierwotną kraju, na każdym kroku znajdujemy nazwisko artysty Niemca obok rzeźbiarza czy malarza Czecha.

Nie zdołalibyśmy stworzyć sobie właściwego wyobrażenia o starej Pradze, gdybyśmy pominęli starą uliczkę alchemików, która jest w Europie bodaj jedyną w swym rodzaju. Domki przypominają jakieś olbrzymie grzyby pod rozłożystemi kapeluszami dachów. Jest to, zgodnie z duchem średniowiecza ulica, na której mieszkali ludzie wykonywujący jeden wspólny zawód. Szlachetny ten prekursor chemji, dzisiaj poniechany, był w średniowieczu niezwykle ważnym zawodem, przedewszystkiem dlatego, że spodziewano się po nim „stworzenia“ złota. Nie było to więc znowu taką abstrakcją, a nieraz skarb państwa opierał swoje nadzieje właśnie na sukcesach alchemików. Jak wiadomo, wielu monarchów średniowiecza i renesansu zajmowało się pilnie alchemją, popierając wysiłki adeptów tej tajemniczej nauki, a uliczka ta napewno była widownią niezwykle ciekawych, a nieraz o samą wielką Historję potrącających wydarzeń.

Na bulwarach nadwełtawskich stoją ogołocone z liści drzewa, zimny wiatr hula po szerokich placach i długich ulicach. „Zlata Praha“, Praga z powieści Meyrincka, z dawnych legend i baśni Praga pamiętająca walki Husytów, zwycięstwa, Wallensteina, kładzie się do snu, by śnić o ciężkich dniach i udrękach, jakie ją czekają...

Jan Maleszewski.

Dokończenie z str. 5-ej.

swej urodzie, a właściwie niczem nie różnią się od hjeny. Są leniwe, tchórzliwe, żywią się padliną. Królewski tytuł należy się raczej tygrysowi, którego cechuje odwaga i siła. Lew łatwo się rozmnaża w niewoli. W warszawskiem Zoo przyszło na świat przeszło 60 lwiątek.

Na rozległym wybiegu, imitującym lekko falujący podgórski teren, wygrzewa się do słońca rodzina bizonów. Mały bizonek, rozwalony w piachu u boku czułej mamy i papy, nie zdaje sobie zapewne sprawy, jak ważną odgrywa rolę w kwestji podniesienia przyrostu swego rodu. Jeszcze do niedawna było tych zwierząt wszystkiego 300 sztuk na całym świecie. Dzisiaj, łącznie z warszawskim bizonkiem, przeszło 10 tysięcy. Jeszcze jedno wielkie plus na dobro warszawskiego Zoo! Ostatnie zaś wieści donoszą o wykluciu się dwudziestu sztuk papug i to samych cennych okazów, co w obecnym okresie niemożności sprowadzania z zagranicy tych pięknych ptaków jest faktem wielce doniosłym.

Kwestja wyżywienia mieszkańców Zoo stoi, rzecz jasna, na pierwszym planie. Co za rozmaitość menu! Niczem w jakiemś sanatorjum djetetycznem. I witaminki i surówki, i gotowane i przecierane, krajane i cięte. Co pensjonarjusz, to co innego. A ileż to kosztuje! Żeby utrzymać tę całą gromadkę tysiąca sztuk w dobrem zdrowiu i wyglądzie, trzeba wydać 400 złotych dziennie na samo jedzenie. Najdroższe do utrzymania są foki i małpy. Jedna foka zjada dziennie za 4 do 6 zł. ryb morskich, które sprowadza się specjalnie dla nich z Gdyni. O ile z przyprawą tych rybek niewiele jest kłopotu, ponieważ foki pożerają je na surowo, o tyle małpy są bardzo wybredne w jedzeniu. Małpie menu nie różni się niczem od ludzkiego. Zupa, mięso gotowane, kombinowane z jarzynami lub kaszką, kompot, na deser owoce, najchętniej południowe, jak banany, pomarańcze, mandarynki. Do picia podaje się małpom herbatę parzoną na różnych ziółkach, a osłodzoną skażonym cukrem. Skażony cukier, posiadający domieszkę węgla drzewnego i soli, stanowi doskonałą odżywkę dla tych tak trudnych w hodowli stworzeń. Przysmakiem, za którym małpy przepadają, to witaminowa sałatka z liści mlecza.

Roszkoszna para hipopotamów Bobby i Molly zjada codziennie skromną porcyjkę buraków, kartofli i owsa wagi 80 kg, a sympatyczna rodzinka słoni Jaś, Kasia i córeczka Tuzinka konsumują wspólnemi siłami przeszło 120 kg owsa, buraków, siana i po 2 do 3 bochenków chleba na osobę. Niezły apetycik, prawda? Strasznie miły jest widok słonia podczas jedzenia. Nie bierze on nic bezpośrednio do pyska, lecz — pomaga sobie trąbą, jak człowiek ręką. Nawet owies czerpie w ten sposób i sypie do „buzi", zgarniając systematycznie rozsypane ziarno czemprędzej do kupki. Gałązki drzewa chrupie jak karmelki i wszystko to popija wodą, również czerpaną przez trąbę.

Mniej apetyczny widok przedstawiają wszystkie zwierzęta dzikie, karmione surowem mięsem. Zapach krwi budzi w nich uśpione chwilowo krwiożercze instynkty i nie obejdzie się nigdy podczas jedzenia bez bójki, ryków i pokazywania groźnych kłów. Lwy zjadają dziennie po 7 kg mięsa, pozatem otrzymują po dwa litry pożywnej zupy jarzynowej. Likaony lubią bardzo na deser pochłeptać sobie świeżej krwi. Całe szczęście, że nie ludzkiej! A sępy, hjeny, szakale i inne zwierzęta, żywiące się na wolności padliną i przy zoologicznym stole przenoszą sztukę mięsa z tygodniowym zapaszkiem, od świeżej polędwicy. Wszystkie zwierzęta trawożerne otrzymują stałą porcję gałęzi do ogryzania kory, która ze względu na zawartość garbnika jest niezbędną dla utrzymania ich żołądków w zadowalającym stanie.

Nie wszystkie zwierzęta na terenie warszawskiego ZOO są darmozjadami, leniuchującymi na swych wybiegach. Niektóre pracują solidnie na kawałek chleba. Wielbłądy wożą cegłę i piasek do budowy nowych wybiegów, lama guanacco Kubuś, mąż pani Hanusi, która oddana jest w zupełności wychowaniu małej córeczki, wozi po ogrodzie dzieci i pozuje wdzięcznie do zdjęć pamiątkowych, a ponny szotlandzkie, mały ratlerek i trzy małpki Felek, Moryc i Maksio, pod wodzą specjalisty tresera p. Neumana, popisują się sztuczkami w cyrku, zbudowanym na ten cel w centrum ogrodu. Cyrk ten, to ostatnia nowość stołecznego ZOO, stanowiąca jeszcze jedną atrakcję dla publiczności.

Zwiedzając nowoczesne ZOO, z którego znikają powoli wszelkie kraty, druty i klatki, a zwierzęta pod czułą opieką hodowców czują się na wolnych wybiegach niemal jak u siebie w domu, ma się poprostu wrażenie biblijnego raju, który niezaprzeczenie był arcywzorem idealnego zwierzyńca. Warszawski Ogród Zoologiczny, z którego stolica może być dumna, stara się co sił, by dorównać temu ideałowi.

Zofja Ordyńska.

Dokończenie ze str. 15-ej.

i starodawnych obyczajów, jakoteż gościnność i szczera pobożność.

Przywiązanie do tradycji przejawia się w charakterystycznem zdobnictwie i stroju ludowym, którego zwłaszcza kobiety nie porzucają aż do dziś dnia i to nietylko od święta, ale noszą go również w ciedziennych zajęć. Strój ten dzieli się na kilka rodzajów, a mianowicie: góralski, wałaski, laski i jackowski (jabłonkowski). Najważniejszym jego elementem jest haft i koronka szydełkowa oraz klockowa. Na „kabotkach" kobiecych występuje haft biały oraz krzyżykowy (u górali) o rozmaitych motywach. Bardzo efektowne są gorsety, czyli t. zw. tutaj „żywotki" wałaskie z haftem wełnianym, jedwabnym, srebrnym lub złotym. Uzupełnieniem tego stroju są dla kobiet wspaniałe pasy srebrne a nawet złote, wykonane przez miejscowych złotników. Złotnictwo i snycerstwo, jak i kucie w metalu, bardzo zresztą były w Cieszyńskiem rozpowszechnione.

Niemniejszą wartość artystyczną przedstawiają srebrne filigranowe guzy do „bruclek" jabłonkowskich oraz pasy góralskie z tłoczonym ornamentem i mosiężnemi klamrami.

Kiedy pod koniec XIX w. tandetny przemysł fabryczny wypierać począł stroje ludowe, powstało Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie, które pod prezesurą znanego działacza ks. Świeżego zgromadzić zdołało ogromnie wiele zabytków. Działalność jego znaczy się po dziś dzień wydobywaniem na jaw skarbów sztuki ludowej. Powstający na tym gruncie przemysł regjonalno-chałupniczy ma wielką przyszłość przed sobą i to nietylko pod względem finansowym, ale nadewszystko kulturalnym.

Jadwiga Harasowska.

Dokończenie ze str. 17-ej.

o karjerze i o szczęściu wielkich artystów...

Nie chcemy wcale rozwiewać tych marzeń — niechże sobie istnieją w sercach naiwnych i romantycznych. Nie chcemy chociażby z tego powodu, że przecież marzeń tego rodzaju nie rozwieją nawet najbardziej realne fakty z życia.

Ale gdybyśmy się tak bliżej przyjrzeli temu „szczęściu" i temu „rajowi" — niewątpliwie nawet najzagorzalsi zwolennicy marzeń o bajce filmu, doznaliby pewnego rozczarowania. Oczywiście, z góry założyć sobie musimy jako pewnik fakt, że właściwie nic bezspornego nie wiemy o Hollywood. Dochodzą nas stamtąd najróżniejsze wieści — o wielkich miłościach i wielkich tragedjach, o rozwodach i ślubach, o szczęściu rodzinnem i szaleństwach w luksusowych willach artystów — ale wkońcu czy ktoś z nas mógłby przysiąc, że to jest prawda? Sposób prowadzenia reklamy a l'amerikaine jest tego rodzaju, że skłonni bylibyśmy nieraz raczej w to uwierzyć, że wogóle nie istnieje jakaś Joan Crawford czy Gary Cooper...

Marzącym w ubogich pokoikach i noszącym w portfelu fotografje pozostawmy ich marzenia a sami przejdźmy się po prywatnem i realnem życiu sławnych gwiazd — o ile to potrafimy, wyłączając rzeczy i sprawy wyolbrzymione przez reklamę.

Przedewszystkiem niespornym faktem jest to, że ci wszyscy wielcy żyją w zasadzie takiem samem życiem, jak i my. Wygląda to na paradoks, ale niewątpliwie tak jest.

Bo przecież... muszą spać i muszą jeść, jak wszyscy, i zabawić się normalnie jak wszyscy — i pracować jak wszyscy. Ci, którzy marzą o Hollywood jak o raju, nie zdają sobie zazwyczaj sprawy z tego, jak ciężką pracą jest praca w filmie, ile wymaga ustawicznego naprężenia nerwów, ile walki o to, by się utrzymać na powierzchni, by wciąż być czemś, by się nie dać zdegradować ani intrydze czyjejś, ani też idącemu wciąż wielkimi krokami czasowi... Poza tem całem życiem pełnem niepokojów, obaw, ustawicznego walczenia z przeciwnymi prądami, jest jeszcze wielka praca w atelier, która również wymaga ustawicznej kontroli i której droga najeżona jest nawet dla „bożyszczy" kolcami i przeciwnościami. To, co w każdym teatrze widzimy na małym odcinku — walka o rolę, o popularność, ustawiczna chęć podobania się tak bardzo kapryśnej publiczności, której reakcja jest sprawdzianem talentu artysty i warunkiem jego takiej czy innej gaży, walka z czasem — szczególnie dramatyczna u kobiet — fabrykacja plotki życzliwej a zwalczanie szkodliwej — to wszystko występuje w niepomiernie większych ramach w stolicy filmu światowego. A to jest ciężkie i wyczerpujące.

Stąd też tyle dramatów w świecie aktorskim. Stąd zarazem częste rozwody, szukanie nowości, szukanie zapomnienia w narkotykach i t. zw. orgje, które szczególniej wtedy, gdy Stany były jeszcze „suche", stawały się skandalem.

Na marginesie tej pracy i tych warunków wiodą jednak artyści normalne ludzkie życie. Czy może ktoś przypuszczać, że jakaś sława nie cierpi na żołądek lub na zęby? Niejeden z wielkich gwiazdorów ma niewątpliwie bardzo bolesny nagniotek... I tak dalej.... we wszystkich skalach normalnego, ludzkiego życia.

Mimo olbrzymich nieraz zarobków, artyści często pogrążeni są w dręczących długach, gdyż muszą wydawać wiele pieniędzy na impresarjów, opłacać się konkurentom i różnego rodzaju wydrwigroszom, a przedewszystkiem ładować mnóstwo pieniędzy w reklamę. Więc i kwestje finansowe nieraz i dla nich są równie uciążliwe, jak dla zwykłych śmiertelników.

Aktorzy poza tem jak wszyscy inni, lubią chodzić do... kina, lubią też uczęszczać do kawiarni, na dancingi, uprawiają sporty, robią wycieczki automobilowe.

Gdybyśmy się bliżej przyjrzeli życiu niejednego z nich, gdybyśmy poza tem mieli możność bezpośredniego w nie wglądu, przekonalibyśmy się, że ożywiają ich też czysto-ludzkie i ogólno-ludzkie uczucia. Miłość do matki niekoniecznie musi być tylko reklamą, jak również fakt, że jakaś para aktorska stanowi przez długie lata dobrane i szczęśliwe małżeństwo.

Tak więc widzimy, że wtedy, gdy „gwiazdy" zstępują na ziemię z niebotycznych i mitycznych wyżyn sztuki filmowej, stają się one zwykłymi, nieraz nawet zgoła przeciętnymi, śmiertelnikami. Bo tak już jest w życiu, że nikogo nie wypuszcza ono ze swego zwykłego, normalnego kieratu. To, że jest gdzieś inaczej — pozostawmy w sferze marzeń mieszkanki ubogiego pokoiku i romantycznego studenta...

wz.



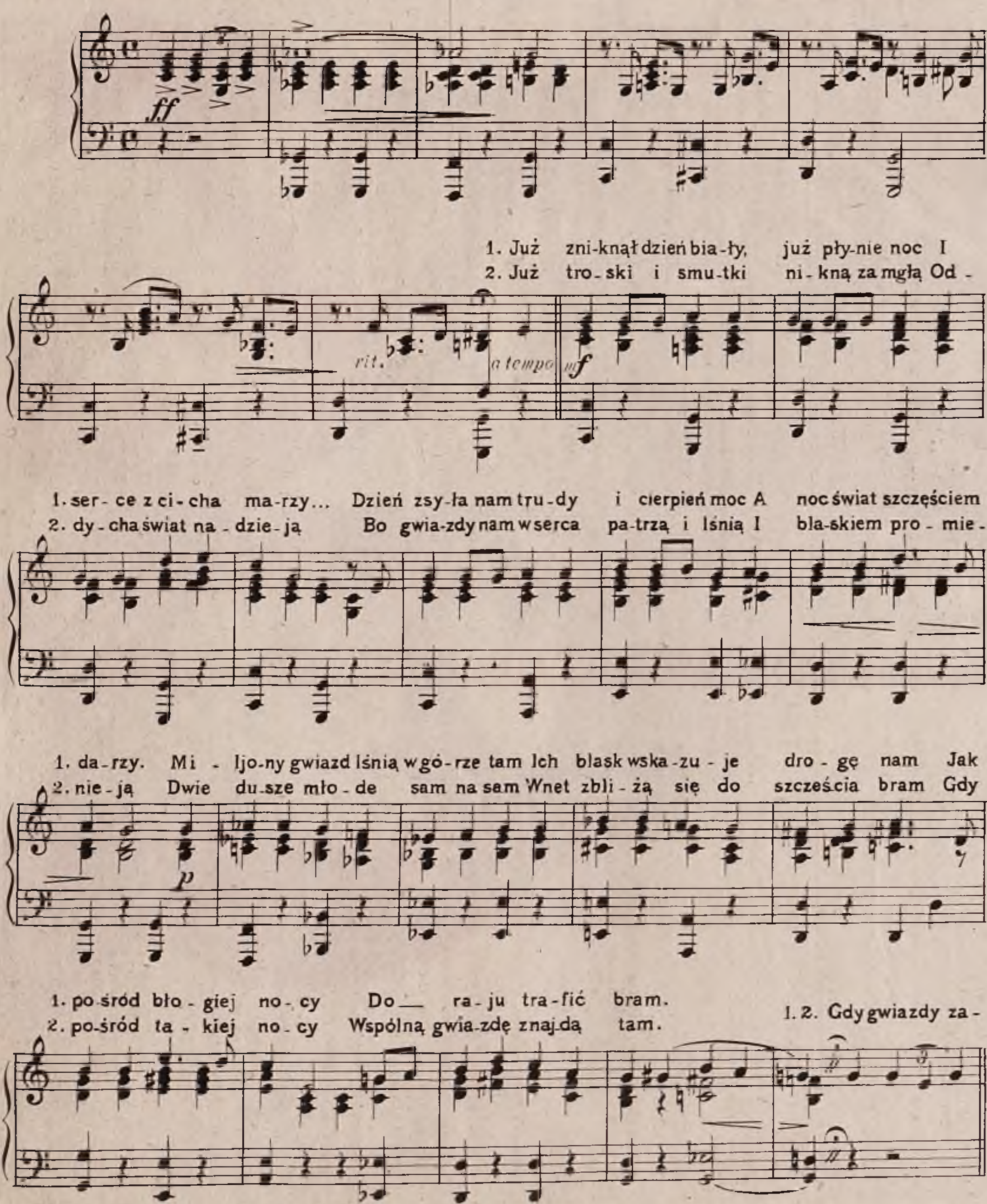
PRZYJACIEL
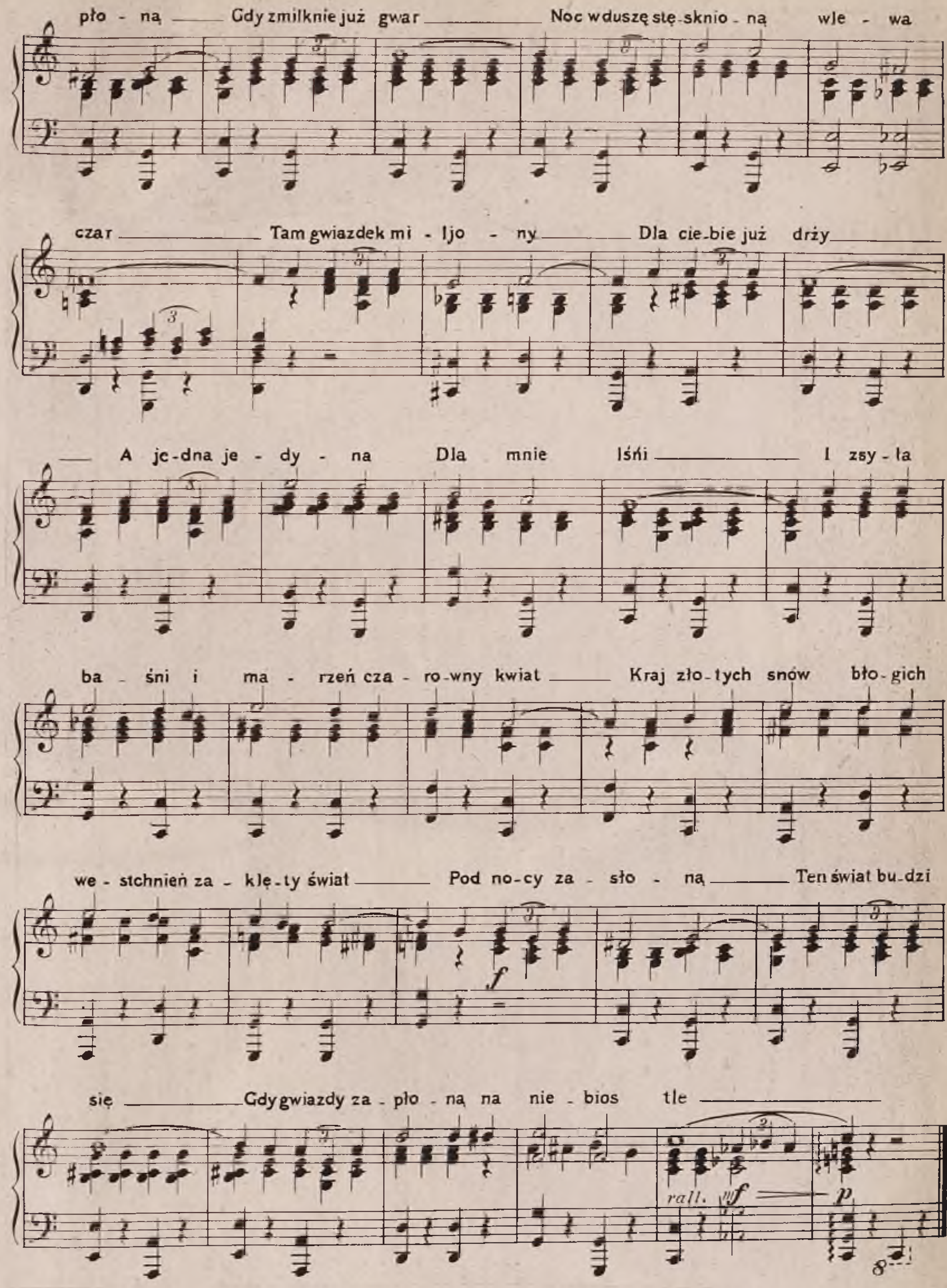
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Gdy gwiazdy zapłoną...

Foxtrot z filmu „Błyszczące gwiazdy".

Słowa: WINCENTY RAPACKI (syn). Muzyka: LEON LEUX.





TAJEMNICA PARKU

ZOFJA RYSIŃSKA

NOWELA

Kiedy drzwi zamknęły się za Gierliczem, w pokoju nastała cisza. Każda z pozostałych osób przeżywała to, o czem mówił Gierlicz.

— Niesamowity człowiek — odezwał się wreszcie gospodarz domu. Ma niezłomną pewność komunikacji z zaświatem i wyrabia w sobie jakąś siłę, zbliżoną do siły fakirów, a jednocześnie nie jest oddzielony od życia: pracuje przecież jako lekarz, robi ciekawe doświadczenia i pogłębia przez to teorje naukowe.

Siedząca w milczeniu w wielkim fotelu klubowym szczupła, starsza pani odezwała się cicho:

— Komunikacja z zaświatem? Myślę, że wielu z nas miało przeżycia na tem tle... Jedni słabe, może w snach, inni w t. zw. przeczuciach, inni znacznie intensywniej.

Atmosfera małego saloniku o przyćmionem świetle wytwarzała nastrój sprzyjający tajemniczym słowom starszej pani.

— Myślę, ciotko, rzekła powstając smukła młoda pani domu, że u was tam na kresowej wsi, w ciszy, na tle natury, że tam wydarzenia niewytłumaczone są może zjawiskiem częstszym, ale w stolicy, w wielkiem mieście, w tym chaosie, zamęcie, w tym ciągłym wirze spraw codziennych, w ciągłym pospiechu — czyż my mieszkańcy miast przeżywamy kiedy coś podobnego.

— Sądzę, że teren niema tu znaczenia. Raczej osobowość danego człowieka...

Dwie młode kobiety i starszy pan, który siedział obok nich, słuchali z zainteresowaniem.

— Jestem pewny — rzekł on, że pani miała właśnie kiedyś takie przeżycie... Gdyby pani chciała tem podzielić się z nami...

— Ciotko! Jeśli było coś takiego w twojem życiu, opowiedz nam... Wiem, że nie lubisz mówić o sobie i choć jesteśmy tak blisko z sobą, właściwie mało wiem o tobie. Jesteśmy w tak ścisłem kółku... i jesteśmy wszyscy nastrojeni do odczucia takich właśnie tajemniczych objawów.

Starsza pani utkwiła zmęczone nieco oczy w jeden daleki jakiś punkt. Po chwili rzekła wahająco:

— To, co mogłabym wam opowiedzieć, jest tak nieprawdopodobne, tak koszmarne... A jednak widziałam... przeżyłam to...

Nastała chwila ciszy. Wszyscy jakby zamarli w oczekiwaniu. Dwie młode kobiety, siedzące na kanapie, przysunęły się do siebie, pani domu położyła dłoń na ręku męża.

Boczna lampka oświetlała blado salonik, blat stoliczka z ukrytą żarówką odcinał się jasną plamą w półmroku pokoju.

W tej ciszy podmiejskiego mieszkania, gdzie nie dochodziły żadne hałasy zzewnątrz, dał się słyszeć z głębi wielkiego fotela stłumiony nieco, ale wyraźny głos.

— Wojna światowa zastała mię zagranicą. Los zrządził, że wróciłam do kraju dopiero w rok po wojnie z bolszewikami. Rodzinę moją zastałam szczęśliwie przy życiu. Pozostawiłam tu jednak kuzynkę moją i jednocześnie przyjaciółkę od lat najmłodszych bardzo i może wyjątkowo mi drogą i kochaną. Mieszkała stale na kresach, gdzie miała majątek. Gospodarowała sama. Nie miała bliższej rodziny. Ją przedewszystkiem widzieć chciałam. Marzyłam o tem spotkaniu lata całe. Z przerażeniem wysłuchałam wieści straszliwej: zginęła. Znikła w sposób niewytłumaczony w czasie najścia wojsk bolszewickich. Spodziewano się wciąż, że się znajdzie, oczekiwano jej powrotu, ale dwa lata upłynęły, a wieści nie ma żadnej... W majątku gospodaruje dawny rządca, który wciąż czeka i wierzy, że pani wróci..

Byłam zdruzgotana tą wieścią. Czyż to możliwe? Znikł człowiek i śladu po nim niema żadnego? Nocami prześladowała mnie ta myśl, tęsknota mię gnębiła. I nagle jakiś głos nieomal wyraźny mówić mi zaczął, abym jechała tam na miejsce jej ostatniego pobytu. Daremnie rozumowałam, daremnie się temu głosowi przeciwstawiałam. Jakiś nakaz wewnętrzny kazał mi to uczynić.

W pewien letni poranek wysiadłam na małej, jakże mi dobrze znanej stacyjce. Telegrafowałam, że przyjadę, więc konie czekały na mnie. Znałam tę drogę... ileż razy jeździłyśmy razem z nią, z tą, która znikła... Pamiętałam doskonale rządcę, tego samego, który od dwóch lat czekał na swoją panią... wysoki, przystojny brunet o wydatnej szczęce i wąskich oczach.

Konie biegły szparko. Wkrótce na horyzoncie zarysowały się drzewa Witkowszczyzny. Zajechaliśmy do oficyny. Tu mieszkał rządca. Dwór stał pusty, jak objaśnił mię woźnica. Z ganku zbiegł rządca, pomagając mi wysiąść. Jakże dokładnie pamiętam naszą rozmowę.

— Pani dobrodziejka do nas? Co za niespodzianka. Po tylu latach. Dziś tylko ja witam panią...

— Tak, panie Krynicki. Przyjechałam, bo tylko pan może mi udzielić szczegółów o Teresie. Ale teraz chciałabym trochę odpocząć.

— Pokój dla pani dobrodziejki przygotowany pod naszym skromnym dachem. Dwór zamknięty.

— Tymczasem odpocznę trochę u pana, ale później poproszę o otworzenie pokojów we dworze. Chciałabym przejść się po nich, obejrzeć...

Zdawał się być niemile zaskoczony tem mojem żądaniem.

— Czy to sprawia jakie trudności? — spytałam.

— Ależ żadnych, pani dobrodziejko, oczywiście żadnych. Zaraz poślę kogoś po klucze.

Zajmowane przez rządcę w oficynie pokoje umeblowane były starannie choć skromnie.

— Ma pan zapewne dużo roboty — zwróciłam się do niego — prosiłabym jednak jak się tylko umyję i oczyszczę z drogi — o chwilę rozmowy.

I znowu lekkie zmieszanie.

— Nieco szczegółów — rozumie pan.

— Tak, szczegóły... oczywiście... bardzo chętnie.

Przy śniadaniu przedstawił mi swą żonę, przystojną tęgą blondynkę o twarzy dość tępej.

— A więc, panie Krynicki, pragnę, jak już mówiłam, dowiedzieć się dokładnie, w jakich okolicznościach zniknęła Teresa. Jest to dla mnie czemś niewytłumaczonem. Zdarzało się podczas wojny, że ludzie odłączali się od domu, od rodziny, ale przecież później znajdowali się... były jakieś wieści...

— To też i my czekamy wciąż wiadomości lub powrotu pani dziedziczki. Wciąż czekamy.

— To już dwa lata — szepnęłam. Proszę mi powiedzieć, kiedy ją pan widział po raz ostatni?

— Ostatni raz.. Wojska bolszewickie następowały. Pani dziedziczka pozostawała do ostatniej chwili... Ale trzeba było uciekać — życie nie było pewne... co mówię — niepewne — zagrożone. Przygotowałem najlepsze konie i powóz dla pani dziedziczki, sam pilnowałem, aby stado bydła i konie popędzono w stronę niezajętą jeszcze przez bolszewików. Kiedy wróciłem po paru godzinach, nie zastałem już pani dziedziczki.

— A konie, powóz.

— Stały zaprzężone przed stajnią. Stangret miał właśnie zajeżdżać...

— Który stangret?

— Konstanty.

— Gdzież on jest teraz?

— Odszedł jakoś zaraz potem...

— Ale przecież nie miała chyba jechać sama? Może z gospodynią, albo pokojówką.

— Nie, tamte pierwsze uciekły. Ale bolszewicy nie doszli do naszego dworu. Nie zdążyli. Dostali podobno rozkaz odwrotu.

— A pan szukał jej? pytał się pan ludzi?

— Wtedy, jak wróciłem... właśnie od tego bydła, to już czasu nie było... zamęt taki... ludzie nic nie wiedzieli... Każdego dnia potem czekałem... i tak czekam do dziś... Niema i niema... Ot gospodaruję, dobra pani dziedziczki pilnuję. Wróci — to rachunki zdam...

Glos mu jakoś zmatowiał i załamał się. Było coś dziwnego w tem opowiadaniu. Czegoś tu brakowało... coś się zrywało i nie wiązało na nowo.

Kiedy otwarto okienice i drzwi wejściowe dworu, przeszłam przez wszystkie pokoje. Panował tu ten specjalny przykry zapach niezamieszkałego i nieprzewietrzanego wnętrza, ale wszystkie meble stały na swych miejscach, wszystkie obrazy wisiały jak dawniej. Wyglądało istotnie, że czekano tu na tę, która powinna wrócić do swej siedziby.

Poprosiłam Krynickiego, aby pozostawił mię samą. Było letnie pogodne popołudnie. Siadłam w oknie pokoju, w którym mieszkałam zawsze, miesiącami przebywając w Witkowszczyźnie. Pokój ten przylegał do pokoju Teresy. Okna wychodziły na długą aleję grabową, dawniej starannie strzyżoną. Dziś graby się rozrosły i utworzyły cienisty szpaler.

Siedziałam tak wpatrzona w aleję, a przed oczami przesuwały mi się minione lata. Widziałam siebie i Teresę, gdy jako dzieci, a potem młode dziewczęta biegałyśmy po alei, albo chodziłyśmy, trzymając się za ręce, długie prowadząc rozmowy. Utonęłam cała w przeszłości.

Nagle na końcu alei ujrzałam Teresę. Był dzień, nie spałam. Widziałam ją wyraźnie. Szła w stronę mego okna i kiwała ku mnie ręką. Wychyliłam się z okna. Szła ciągle i ciągle ten ruch przyzywający. Zerwałam się, wybiegłam do ogrodu i poczęłam biec aleją. Wtedy ona zaczęła się cofać, ale ręką przyzywała mię nadal. Szłam ku niej przez długość alei. Na końcu alei był wielki klomb bzów wybujałych i zaniedbanych. Nagle przy tych krzakach Teresa zatrzymała się. Wskazała ręką klomb i znikła. Stałam, serce waliło mi w piersiach, ale nie czułam cienia lęku. Było to raczej zdumienie. Nagle jakby olśnienie... Jasność mi na mózg

Dokończenie na str. 31-ej.

W MIEŚCIE, GDZIE ZIMA JEST ŁAGODNA...

Płaszcze rywalizują z futrami

Właściwie z nastaniem pierwszych chłodów listopadowych, piękne panie chętnie otulają się w futra — lecz w tym roku, moda tak sobie upodobała motyw płaszcza przybranego futrem, tyle na ten temat ułożyła uroczych pomysłów i fantazyjnych zestawień, że w porównaniu z tymi poematami kroju i barwy, fantazji i oryginalności, całkowite okrycia futrzane wydają się nam trochę za solidne i zbyt monotonne. Bo choć futrzarze uczynili wszystko, aby w tym sezonie urozmaicić wygląd futer przez ich specjalnie staranne i nowe opracowanie, lecz ostatecznie futro nie może dać takich nieskończonych możliwości odmian, co płaszcz futrem przybrany. Poza tem nie zapominajmy, że dla wielu, bardzo wielu kobiet, piękne, luksusowe okrycie z szlachetnego futra nie mieści się poprostu w ramach ich budżetu i te zawsze będą wolały przystępniejszy płaszcz, od taniego futerka.

I jeszcze jedno: najpiękniej skrojone futro pogrubia nieco sylwetkę kobiecą, zaciera jej kontury, nie podkreśla wszystkich szczegółów jej figury. To też młode, szczupłe i specjalnie zgrabne kobiety zawsze sobie wyszukają okazje, aby w ciągu najsroższej nawet zimy pokazać się tu i ówdzie w eleganckim, obcisłym i zgrabnym płaszczu, przybranym pomysłowo futrem.

Obok futer płaszcz jest nam więc nieodzowny, to też podamy naszym Czytelniczkom parę pomysłów najmodniejszych i najtwarzowszych modeli.

Tegoroczny płaszcz zimowy, to właściwie tylko temat dla najkapryśniejszych improwizacyj futrzanych. Dawny kanon kołnierza i mankietów wydaje nam się dziś anachronizmem. Pocóż się ograniczać do tego szablonu, skoro można futro umieszczać na kieszeniach, epoletach, paskach, wszerz, wzdłuż i naukos — aplikować go w kształcie liści, kwiatów, pasów, girland, robić z niego ranwersy, całe rękawy, nakładane bolerka, krawatki i pelerynki. Nie musimy się zresztą ograniczać do samego płaszcza, gdyż i zarękawek i kapelusz, względnie kapuza mogą być wykonane całkowicie z futra. W naszym klimacie powinno się to przyjąć: jakże miło wtulić ręce w taką puszystą, cieplutką „mufkę", a głowę okryć kapiszonem futrzanym, który tak wdzięcznie okala twarz, a jednocześnie chroni fryzurę od wiatru a uszy od mrozu. Można wtedy kpić z termometru i nie bać się choćby najostrzejszych mrozów!

Do płaszcza, pozbawionego mankietów futrzanych, nosi się również ciepłe rękawiczki z muszkieterskimi mankietami, zrobionymi z tego samego futra, co przybranie płaszcza. Zakochana w futrze tegoroczna moda, umieszcza je nawet przy bucikach, w formie obkładów przy głębokich pantoflach sportowych, na niskim lub słupkowym obcasie. Widziałam komplet zimowy, składający się z płaszcza z miękkiej brązowej duwetiny, fantazyjnego krawatu z ocelotów, rękawiczek z manszetami z tegoż futra i takichże obkładów przy brązowych zamszowych bucikach. Całość tę uzupełniał wysoki, kozacki kołpak z ocelotów, włożony zawadjacko „na bakier".

Kozackie reminiscencje odnajdujemy również w kroju płaszczy, które chętnie szafują kloszami, szczególnie z tyłu. Szerokość uzyskuje się też zapomocą przymarszczeń, co możliwe jest jednak tylko w szczególnie miękkich materjałach, których Rodier i Ducharne wypuścili w tym roku całą kolekcję.

Interesującym szczegółem mody płaszczowej, jest jej wyszukana i oryginalna kolorystyka. Obok zawsze wytwornej czerni, ożywianej zresztą chętnie przybraniem z popielatego, a nawet brązowego futra, najmodniejsze są wszystkie piękne, głębokie i subtelne odcienie fioletowe, śliwkowe, wiśniowe, wszystkie tonacje brązu, od czerwonawego koloru korynckich rodzynków i złotawego kasztanu, aż po płowe barwy jesiennych liści lub sarniej sierści. Kolor popielaty góruje w przybraniach, np. popielicowe futro do płaszcza „prune" lub



Od lewej: Popołudniowy płaszcz, przybrany breitschwanzami, z których wykonany jest również zarękawek. — Kolisty zarękawek i przybrania z nurków zdobią model płaszcza o poszerzonej ku dołowi linji i szerokich rękawach. — Kapuza i rękawy z popielatych baranków doskonale harmonizują z charakterem sportowym tego modelu. — Płaszcze z miękkiej wełny bywają ozdabiane futrem w formie szali lub krawatów.



RYSUNKI: EWA LEO

czarnego, indyjskie breitschwanze do stalowo-niebieskiego, a nawet do ciemnego brązu zw. „tête de nègre".

Obok lisów czarnych, białych, srebrnych, niebieskich, popielatych i rudych, najbardziej en vogue są rysie, skunksy i nutrje, z których robi się chętnie całe rękawy przy płaszczu. Rywalizują z nią selskiny, tak czarne, jak i miedziano-brązowe, t. zw. „loutre mordorée".

Nigdy jeszcze Paryż nie zasypał nas taką ilością wystudjowanych, wspaniałych modeli płaszczy zimowych, nigdy nie stworzył takiej rozmaitości typów okryć, kolorów i przybrań futrzanych. Jest w czem wybierać na każdy smak, i — co ważniejsze — na każdą kieszeń!

Lady Like.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

PIELĘGNACJA ŁOKCI

XXIV.



Powyżej: Zmywanie łokcia cytryną jest wysoce skuteczne.

Poniżej: Chcąc uelastycznić naskórek łokcia nacieramy go tłustym kremem.



Poznając arkana pielęgnacji rąk, zatrzymajmy się również przy łokciu, na którym skóra podlega szczególnie łatwo szkodliwemu działaniu wpływów zewnętrznych, jak i... przemożnego czasu!

W epoce, kiedy piękno rąk grało wielką rolę w życiu kobiety, a więc w wieku 18-tym, używane były powszechnie specjalne rękawiczki. Celem ich była nietylko ochrona ramion przed zetknięciem się z powietrzem i możliwością zabrudzenia ich, ale także działanie kosmetyczne. Oto preparowano je specjalnie, mocząc w wodzie pomarańczowej, napajając krwią koźląt, natłuszczając olejkiem migdałowym i posypując sproszkowanym kwiatem pomarańczowym i ambrą!

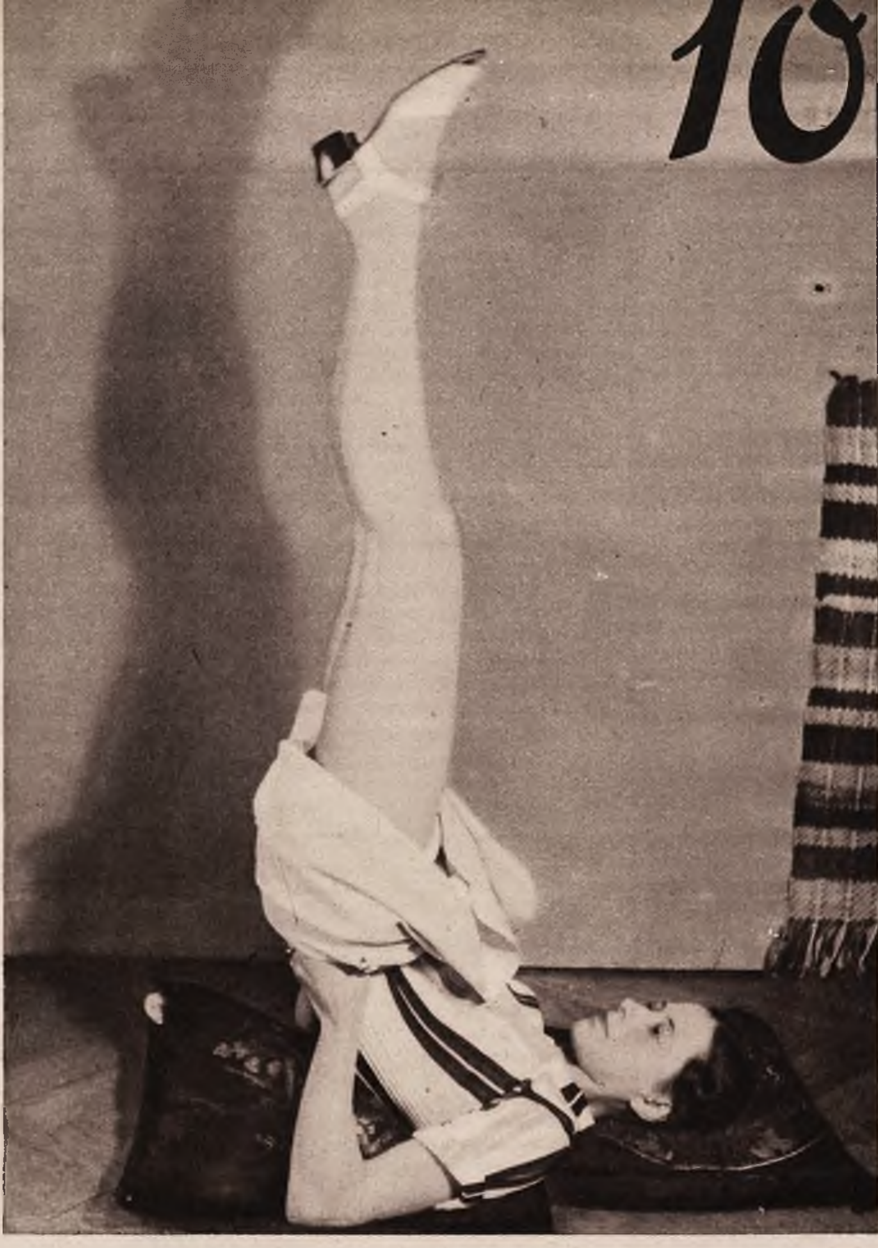
Działanie ich skutkowało, ale przedewszystkiem jako osłona rąk przed zewnętrznymi wpływami. Dziś mamy o wiele racjonalniejsze metody pielęgnacji rąk: kosmetyka opiera się przedewszystkiem na zasadach higjenicznych, stawiając czystość skóry na pierwszem miejscu. Czystość skóry i dostęp do jej tkanek powietrza i słońca, usuwanie jak najskrupulatniejsze brudu i potu przy pomocy odpowiednich mydeł, wody, a również szczotkowanie rąk, oto zasadnicze momenty pielęgnacji.

W parze z kosmetyką postępują ćwiczenia gimnastyczne, które wzmacniają mięśnie, nadają im właściwą elastyczność i nie pozwalają na wiotczenie, będące smutną oznaką starzenia się, o ile zawczasu nie przeciwdziała mu się właściwymi środkami i nieustanną pielęgnacją. Jeżeli tylko właściwe zabiegi kosmetyczne nie zostaną zastosowane zapóźno, można ze spokojem myśleć o zachowaniu urody poza granicę wieku, którą zwykle uważają panie za nieosiągalną.

Łokcie, na których jakże często wspiera piękna pani swą główkę w zadumie, należy często natłuszczać kremem do rąk, szczotkować dobrze przy myciu mydłem i nie żałować im cytryny, która lepiej od innych środków usuwa ślady zanieczyszczenia. Lekki masaż okrągłym ruchem końców palców na łokciu jest również bardzo pożądany, a nie zabiera wiele czasu, nie znajdzie się więc żadna wymówka, aby go przy pielęgnacji rąk zlekceważyć.

Elwira.

10 MINUT porannej gimnastyki



Pomimo używania gorsetów i pasów gumowych bardzo często widzi się osoby, posiadające nieproporcjonalmie rozwiniętą jamę brzuszną. Obawiają się tego nie tylko panie, ale i panowie, którzy powiększający się brzuszek uważają słusznie za pierwsze dzwonienie na alarm, grożący zdeformowaniem całej postaci.

Oczywiście nie kończy się sprawa na samem zdeformowaniu, jeżeli nawet pominiemy ewentualność chorobowych zmian. Dalszą konsekwencją jest bowiem zwiększająca się szybko ociężałość ruchów, niezgrabny chód i zanik elastyczności członków. Aby nie dopuścić do tak smutnych konsekwencyj, należy od czasu do czasu wprowadzać do ćwiczeń gimnastycznych takie kombinacje ruchów, które przeciwstawiają się skutecznie gromadzeniu się tłuszczu na organach, znajdujących się w jamie brzusznej, a z drugiej strony wyrabiają mięśnie brzucha i pleców. Ich sprawność działania i należyte skcordynowanie, ułatwiają narządom trawienia pracę. Rozwój mięśni nie dopuszcza do osadzania się tłuszczu, a wyszczuplając sylwetkę, nadaje wszelkim ruchom pożądaną gibkość i lekkość.

I. Oto zasadnicze ćwiczenie, wyrabiające muskulaturę brzucha: w pozycji leżącej należy przylgnąć kręgosłupem do podłogi tak mocno, aby nie było między niemi pustego miejsca; następnie wprawia się nogi w ruch, jaki wykonuje się przy jeździe na rowerze. Zaczynamy ćwiczenie dziennie od 2—3 minut, a z każdym dniem przedłużamy ćwiczenie, aż dojdziemy do 6—7 minut. Im silniej potrafimy nogi kurczyć i wyprostowywać, tem lepsze skutki uzyskamy.

II. Dla wyrobienia mięśni barkowych wykonuje się ćwiczenie wznoszenia nóg z pozycji leżącej, to jest tzw. „świecę". Ręce, wsparte na biodrach, dopomagają do wzniesienia nóg wraz z biodrami, przyczem plecy powinny być jak najsilniej wyprostowane. Wyprężając nogi jednym rzutem w górę, należy również wyprostować i stopy wraz z palcami.

III. Dalsze ćwiczenia mięśni jamy brzusznej, polegające na wykonywaniu ruchów gimnastycznych przy silnem wciągnięciu brzucha; należy uważać, aby nie podnosił się podczas ćwiczenia. Leżąc na podłodze, zginamy kolana, opierając na niej całe stopy. Ćwiczymy, przybliżając oba kolana równocześnie ku klatce piersiowej i wracając do pozycji zasadniczej.

IV. W pozycji leżącej wyciągamy nogi na podłodze i podnosimy tułów w górę, mniej więcej do połowy drogi, jaka byłaby do wykonania przy normalnej pozycji siedzącej.

V. Wreszcie jeszcze jedno ćwiczenie, które równocześnie wyrabia mięśnie uda i przedudzia: w pozycji leżącej rozkrzyżowuje się ramiona i wyciąga w bok obie nogi. Następnie zatacza się każdą nogą z osobna ruchy koliste, rysujące ósemkę leżąco. Ósemka ta powinna być jak najbardziej wydłużona.

Stosując te ćwiczenia przez dłuższy okres czasu, dojdziemy z łatwością do naszej właściwej linji, a nadto uzyskamy dużą swobodę i estetykę ruchów.

Vera.

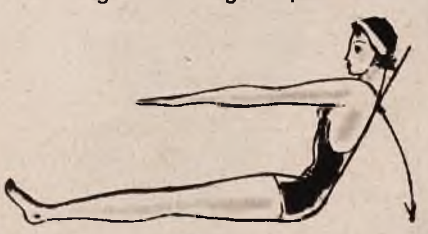
Na lewo: „Świeca" wyrabia mięśnie brzucha, pleców i nóg.



Nogi wykonują ruchy takie jak przy jeździe rowerem.



Przeginanie nóg ku piersiom.



Podnoszenie tułowia z pozycji leżącej do siedzącej.



Zataczanie ósemek nogami z rozkrzyżowanemi ramionami.



ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ

DRESS MYŚLIWSKI



Na prawo: Miękki, filcowy kapelusz o małem rondzie, zwykle w kolorze zielonym, ozdobiony pękiem kolorowych piórek — to najodpowiedniejsze nakrycie głowy dla myśliwego.



Nieraz już spotkałem się z twierdzeniem, że na polowanie, to w każdym razie nie warto wybierać się w porządnem ubraniu, ponieważ, po pierwsze i tak nikt nie ogląda myśliwego w lesie, a pozatem polując, niszczy się rzeczy nieprawdopodobnie szybko — Jakiż to dziwny i niekulturalny, a przytem niepraktyczny punkt widzenia!

Raz wreszcie trzeba rozstrzygnąć kwestję, czy ubieramy się dla ludzi, czy też dla siebie samych. Kulturalny człowiek nie zastanawia się nad tym problemem, bo on dla niego wogóle nie istnieje. Ale zawsze znajdą się tacy, którzy w zamian za korzyść pewnych oszczędności wyrzekną się miana dobrze ubranego mężczyzny, zwłaszcza wtedy, gdy okaże się mało prawdopodobnem, aby spotkać ich mogła krytyka bliźnich — tych, roumiejących się na stroju i doceniających jego kulturalną rolę w życiu. Dla tej garstki, błądzącej po manowcach fałszywej interpretacji kodeksu ubraniowego, dobrze będzie podkreślić to wyraźnie, że w każdej okoliczności życia codziennego powinniśmy być tak ubrani, aby nas każdy mógł oglądać. Wypływa to z zasady, że strój stanowi sprawdzian naszej kultury, która chyba nie jest dwojaką zależnie od tego, czy znajdujemy się sami, czy też w towarzystwie ludzi.

I drugi punkt widzenia, wedle którego tam, gdzie ubranie szybko się niszczy, nie warto nosić solidnych rzeczy, nie wytrzymuje krytyki. Wiadomo bowiem, że właśnie tylko solidne ubrania znieść mogą trudy wypraw myśliwskich i że tylko takie ubrania się opłacają.

Niejednokrotnie podnosiliśmy znaczenie takiego nieporozumienia, wynikającego z przeświadczenia, iż lepiej jest mieć np. sześć ubrań zrobionych z tanich materjałów, niż dwa, uszyte z solidnych i tem samem droższych tkanin. Decydować tu będzie chęć powiększenia repertuaru ubraniowego kosztem solidności garderoby. Na pierwszy rzut oka niewątpliwa korzyść — na dłuższą metę zdecydowana przegrana. Jeszcze w większym stopniu niż u zwykłego śmiertelnika, zasada solidności garderoby występuje na plan pierwszy w życiu każdego sportsmana. Szczególnie ci wśród nich, którzy z racji uprawianego przez siebie sportu przebywać muszą w terenie, nie mogą pozwolić sobie na lekceważenie tej zasady, bez narażenia się na efektywne estraty. Tu

Na lewo: W ubraniach myśliwskich rolę marynarki spełnia krótka kurtka, zaopatrzona w liczne, obszerne kieszenie, którą ubiera się wprost na koszulę flanelową do obcisłych knickerbockerów i wysokich, juchtowych butów...





W pogoni za lisem...



Na prawo: Psy węszą zwierzynę...

doskonałym przykładem będą stosunki amerykańskie. Ogólnie jest wiadomem, że kto jak kto, ale Yankes nie odznacza się elegancją i za grosza nie ma gustu, oraz co za tem idzie zrozumienia dla solidności stroju. Wszystko to jednak kończy się z chwilą, gdy przystępuje on do kupna ubrania, w którem wyruszy na wyprawę myśliwską, rajd konny, lub choćby dalszą wycieczkę samochodową, połączoną z campingiem. Wówczas niejedną godzinę strawi na wyborze materjału, z którego każe uszyć ubranie i zwiedzi niejeden magazyn, zanim dobierze sobie odpowiedni kapelusz, buty, płaszcz, a nawet takie drobiazgi, jak pasek do spodni, szalik, rękawice itp. Pod tym względem Ameryka jest prawdziwym rajem dla sportsmanów i w niczem już dziś nie ustępuje Anglji — ojczyźnie solidnego stroju sportowego.

Sama jednak solidność materjału i wykonania ubrania nie decyduje jeszcze pod każdym względem o praktyczności stroju. Myśliwy, jeśli pragnie czuć się wygodnie na polowaniu, musi koniecznie pamiętać o wyborze odpowiedniego modelu ubrania. Fasonów istnieje bardzo wiele. Z nich na sezon jesienny przyjęła się kombinacja złożona z krótkiej kurtki, zastępującej marynarkę i knicker-bockerów, noszonych do wysokich, sznurowanych butów. Taką kurtkę z cienkiej wełny na podszewce z wielbłądziej sierści ubiera się wprost na flanelową koszulę. Nakryciem głowy pozostał filcowy kapelusz z małem rondem, przybrany pękiem kolorowych piór. Przed deszczem zabezpieczy myśliwego najlepiej krótka peleryna z impregnowanej wełny, która poza praktycznym celem wprowadza do jego stroju jeden więcej walor dekoracyjny.

Ten ostatni moment odgrywa szczególnie ważną rolę w dressach myśliwskich, przeznaczonych do polowań par force.

Kolorowość tych strojów i ich formy, ulegające od czasu do czasu drobnym zmianom, są właściwie zaprzeczeniem zasad, jakie wiążą się z pojęciem myśliwstwa i jego wymogów. Zrozumiemy sens ich istnienia wówczas, gdy polowanie par force umieścimy między zabawami high-life'u, na których każdy pragnie przedewszystkiem błyszczeć urodą i elegancją.

Poniżej: I w strojach, używanych do polowania par force, które posiadają oddawna ustalone formy, moda wprowadza od czasu do czasu pewne zmiany (na rysunku: dwa oryginalne modele surdutów jednorzędowych).





Na lewo: Spotkanie w terenie...

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

MÓŻDŻKOWE PULPETY DO ZUP I SOSÓW. Móżdżek cielęcy lub pół mózgu wołowego gotuje się z jarzynami jak na rosół, następnie przeciera się go przez sito. Dwa żółtka uciera się z łyżeczką masła, dodaje przetarty móżdżek, łyżkę uduszonych i posiekanych grzybków, soli i pieprzu po trosze, łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki, pianę z 1 białka i łyżkę tartej bułki. Z wymieszanej do kładnie masy, urabia się okrągłe pulpeciki, biorąc do pomocy troszkę mąki, aby się nie lepiły. Tuż przed wydaniem osmaża się je szybko na rozpalonem maśle, do złotawego koloru.

ZIEMNIAKI FASZEROWANE. Duże podłużne ziemniaki, obiera się gładko (najwygodniej specjalnym nożykiem), opłukuje, osypuje mąką zmieszaną z solą, układa na posmarowanej masłem blasze i piecze w piecyku, odwracając je, aby się równo rumieniły. Upieczone nadkrawuje się i wybiera środki, które się uciera z masłem. Do tej zasadniczej masy ziemniaczanej dodaje się łyżkę śmietany i trochę siekanej szynki, albo duszonych grzybków (mogą być suszone, ugotowane i zmielone) lub też parę łyżek parmezanu, siekanego śledzia lub utartą sardelkę. Wkońcu możnaby też użyć zmieloną resztkę pieczeni pozostałej wraz z sosem itp. Napełnione ziemniaki układa się na ogniotrwałym półmisku, otwartą stroną do góry, posypuje parmezanem, zmieszanym z tartą bułką i kropi masłem lub śmietaną, poczem wstawia się półmisek do gorącego piecyka na 5 minut.

ZAJĘCZE RULADKI (Z KUCHNI SERBSKIEJ). Zrazy wycięte z combra lub tylnych nóżek zająca, oczyszcza się z błon i ubija na cienkie płaty. Każdy kawałek naciera się tłuczonym jałowcem, zmieszanym z solą i otartą skórką z cytryny, zwija się w rulonik i szpikuje gęsto słoniną. Osobno parzy się duże liście białej kapusty, a kiedy zupełnie zmiękną, ścina się z nich grubsze środki, tj. żeberka; w liście te zawijamy poprzednio przygotowane ruloniki i zabezpieczamy nitką, aby się w trakcie gotowania nie rozwinęły. W rynce natartej masłem układa się ruladki ciasno jeden obok drugiego, a podlawszy je rosołem z kości zajęczych, dusi się je pod przykryciem całą godzinę, w którym to czasie należy je raz tylko odwrócić i jaknajmniej pokrywę podnosić. Specjalne rozbratlowe maszynki z szczelną pokrywą nadają się doskonale do sporządzania tej potrawy. Po godzinie duszenia zdejmuje się pokrywę i nasuwa rynkę na ogień, aby ruladki się zrumieniły, poczem zalewa się je 1/4 litrem śmietany rozkłuconej z łyżeczką mąki i zagotowuje, zeskrobując z boków rynki przywarte części. Ruladki, po zdjęciu z nich nitki, układa się na podłużnym półmisku, jak zajęczy comber, obok fritki lub makaron. Dobrze zagęszczony sos podaje się osobno w sosjerce. Do ruladek tych użyć można również mięsa sarniego lub z każdej innej dziczyzny.

MINESTRA. Potrawa „z jednego garnka", propagowana obecnie „w dni oszczędnościowe" wszędzie zagranicą. Możemy się z nią zapoznać, choć przyznam, na nasz gust ani nie wygląda apetycznie, ani też smakuje. Zresztą proszę popróbować, może się znajdzie amator. Z wielu różnych przepisów wybieram najwięcej odpowiadający polskiej kuchni: 5 dkg grzybów gotuje się zalane pół litrem wody; ugotowane grzyby kraje się drobno, wkłada napowrót do smaku i dodaje: 15 dkg wędzonki, główkę włoskiej kapusty pokrajanej w ćwiartki, parę łyżek zielonego groszku lub fasolki i 3/4 szklanki ryżu, uprażonego poprzednio na dwóch łyżkach oliwy (może też być masło). Garnek szczelnie zamknięty stawia się do gotowania, a po pół godzinie, licząc od chwili zagotowania się zawartości garnka, wstawia się do piecyka na godzinę, poczem potrawa jest gotowa do podania.

OMLETKI Z MARMOLADĄ MORELOWĄ. Dwie małe bułeczki ociera się na tarełku z zwierzchniej skórki, następnie polewa szklanką mleka, a po zupełnem rozmoczeniu przeciera się wszystko przez sitko, dodaje 2 żółtka, dwie łyżki (płaskie) mąki, oraz troszkę soli i ubija dokładnie, aby grudek nie było. Wkońcu dodaje się pianę z 2 białek i miesza ostrożnie, aby piany zbytnio nie rozcierać. Na niewielkiej patelce wysmaża się z obu stron omletki, które powinny być bardzo pulchne. Tuż przed podaniem smaruje się je marmoladą morelową, składa przez pół i posypuje suto cukrem.

DEREŃ. Konfitura z dereniu jest bardzo smaczna i odznacza się pięknym kolorem. Ponieważ owoc ten jest bardzo kwaśny, należy brać podwójną wagę cukru, więc na funt dereniu kilogram cukru. Dereń wybierać należy ciemno-czerwony, ten jest dojrzały, mniej kwaśny. Wydrylowany z pestek dereń rzuca się na gęsty syrop nagotowany z cukru, zagotowuje i odstawia na 24 godziny. Powtarza się to dwa razy. Potem dosmaża się konfiturę, niezbyt długo, aby nie straciła koloru i gorącą zlewa do słoja.

UWAGA. W Nrze 43 „Asa", w przepisie na zupę francuską, zaszła mała omyłka druku, która czyni przepis mało zrozumiałym. Mianowicie w wierszu 5—6 w miejsce **„miesza się"** ma być **miele się...**

Sc. Ko.



P R A K T Y C Z N E W S K A Z Ó W K I W GOSPODARSTWIE D O M O W E M

Ciasne kuchenki gazowe można praktycznie wykorzystać, gotując równocześnie w kilku garnkach stawianych „piętrowo" jedne nad drugimi. Wykonanie tej inowacji gospodarstwa domowego ułatwiają specjalne pokrywki krawężnikowe, na których stawia się znów następne, mniejsze naszynie. Na naszem zdjęciu widzimy taką „piramidę" garnków.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 46 — **Listopad** — 30 dni



NIEDZIELA **6** Leonarda	Rosół z pulpetami móżdżkowymi. Zając po polsku z makaronem. Omlety z morelami. <u>Kolacja</u>: Polędwica wieprzowa z sałatą z kapusty.
PONIEDZ. **7** Herkulana	Zupa kalafiorowa z grzankami. Buletki z mięsa rosołowego /z niedzieli/ z sosem kaparkowym. Kotleciki baranie z fritkami. Kompot z jabłek i gruszek /surówka/. <u>Kolacja</u>: Faszerowane ziemniaczki.
WTOREK **8** Sewera, Bogd.	Zupa jarzynowa puree. Makaron z pomidorami. Kaczka pieczona z duszoną czerwoną kapustą. Budyń z kawowego kremu. <u>Kolacja</u>: Minestra.
ŚRODA **9** Teodora	Prędka pomidorówka z grzankami. Rulada ziemniaczana z serwety. Greckie befsztyki siekane z duszoną kapustą. Jabłka w biszkopcie. <u>Kolacja</u>: Smażona kiełbasa z musztardą.
CZWARTEK **10** Andrzeja	Rosół z kury z kaszką krajaną. Brukselka w sosie śmietanowym. Kura z rosołu z jajecznym chrzanem. <u>Kolacja</u>: Budyń jarzynowy.
PIĄTEK **11** w. Niepodległ.	Zupa grzybowa z płatkami. Omlety z szpinakiem. Sandacz pieczony /z rożna/ z krokietkami ziemniaczanemi. Strudel tyrolski z orzechami. <u>Kolacja</u>: Puszkowe rybki morskie.
SOBOTA **12** Marcina pap.	Ziemniaczanka. Rizotto z podróbkami. Zajęcze ruladki z makaronem. Śliwki w cieście. <u>Kolacja</u>: Parówki w szpinaku.



HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 44-go.

DWUDZIESTU PIĘCIU ROBOTNIKÓW.

Rozwiązanie wskazuje poniższy rysunek.

3	3	3
4		3
2	4	3

EGZAMIN WSTĘPNY.

Najmniejsza ilość pytań, na które kandydat musi odpowiedzieć jest 11, — 5 w jednej grupie, a 6 w drugiej:

25 + 36 = 61.

Istnieje 5 sum poprawnych odpowiedzi, które dają to samo **m**, a mianowicie 36. Sumy te są: 11, 14, 15, 16 i 19.

Zatem Edek odpowiedział na 11 pytań (5, 6, 0, 0, 0) i otrzymał ogółem 61 stopni. Daniel odpowiedział na 14 pytań, ale był najlepszym, więc otrzymał największy ogólny stopień za poprawne odpowiedzi (6, 6, 2, 0, 0) a mianowicie 76.

Alfred za 19 odpowiedzi (4, 4, 4, 4, 3) otrzymał 73. Benjamin otrzymał za 16 odpowiedzi (6, 5, 3, 2, 0) — 74, Cyryl za 15 odpowiedzi (6, 6, 1, 1, 1) — 75.

KTO TO JEST?

Na obrazie była wymalowana córka pana Wróbla.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

REGATY.

Klub żeglarski zorganizował doroczne regaty. Wobec tego, że w zawodach brało udział 7 właścicieli 7 łodzi, więc postanowiono urządzić 7 biegów w ten sposób, aby każdy właściciel musiał prowadzić w każdym biegu inną łódź.

Oto kilka danych, dotyczących przebiegu regat:

Pani Bukowska prowadziła swoją własną żaglówkę w szóstym biegu; w siódmym biegu jej łódź prowadził pan Sosnowski. Yacht pana Wierzbowskiego prowadził w piątym biegu pan Klonowski, w szóstym pan Grabowski, a w siódmym sam p. Wierzbowski. W pierwszym biegu p. Wierzbowski prowadził łódź „Alka", którą w drugim biegu prowadziła p. Bukowska, w trzecim p. Sosnowski, a w czwartym p. Klonowski.

Łódź p. Klonowskiego prowadził w trzecim biegu p. Jaworski, w czwartym sam właściciel, a w piątym p. Wierzbowski. W pierwszym p. Grabowski prowadził łódź p. Sosnowskiego; „Albatros" w trzech pierwszych biegach był kolejno prowadzony przez panów: Jaworskiego, Sosnowskiego i Dębowskiego.

Łódź p. Dębowskiego w czwartym, piątym i szóstym biegu prowadzili panowie: Dębowski, Sosnowski i Jaworski. W tychże samych trzech biegach łódź p. Jaworskiego prowadzili kolejno; właściciel, p. Grabowski i p Dębowski. „Mewę" w czwartym biegu prowadził p. Grabowski, w szóstym p. Wierzbowski, a w siódmym p. Bukowska. W ostatnim biegu p. Dębowski zastąpił p. Sosnowskiego przy sterze „Jaskółki". „Rybitwę" w piątym biegu prowadziła p. Bukowska, p. Klonowski w szóstym, a p. Jaworski w ostatnim. Kto prowadził czyją łódź w drugim biegu?

PAL.

Ojciec wkopał pal w ziemię. Nieznośny Janek, który właśnie otrzymał od cioci Andzi piłę, odpiłował wierzchołek pala. Poprzednio tylko 1/6 pala była zakopana, a Janek odpiłował 1/5 część tego, co wystawało z ziemi. Jaka część nowej długości pala pozostała w ziemi po odpiłowaniu wierzchołka?

POWRÓT Z WAKACYJ.



— Boże święty! Jacyś złodzieje wdarli się do domu podczas naszej nieobecności!

— Ależ nic podobnego, Stasiu! Czyż nie pamiętasz, że przed wyjazdem szukałam twojej spinki? („Ric et Rac").

AMBARRAS DE RICHESSE.



Uczestnik loterji fantowej: — A ja przecież chciałem tylko wygrać pudełko papierosów egipskich...

(„Ric et Rac").

„MECENAS".



— Niech pan mi namaluje obrazek wielkości czterdziestu centymetrów na trzydzieści siedem. Chciałbym bowiem zużytkować puste ramy, które leżą u mnie w domu.

(„Ric et Rac").

SZYBKOŚĆ KULI.

Dwóch chłopców, Janek i Maciek, strzelało z rewolweru. „Jaka jest szybkość kuli? — zawołał Maciek — założę się, że nie wiesz!" „Można ją obliczyć" — odpowiedział Janek. W tym celu zbudował cylinder długości 1 m, który po wprowadzeniu go w ruch, wykonywał w ciągu 1 sek. 30 obrotów dokoła swej osi. Następnie zakrył oba wyloty cylindra papierem i strzelił w papier zamykający jeden koniec cylindra, w ten sposób, że i drugi został przebity. Po zatrzymaniu cylindra stwierdził, że kula przebiła drugą papierową podstawę, zbaczając o 20 stopni od punktu, w którym przebiła pierwszą. Jaka więc była szybkość kuli rewolwerowej?

SZYFR.

Wczoraj wieczór „Czarny Władek", herszt naszej bandy, wręczył mi potajemnie szyfr: „To bardzo łatwe — szepnął mi — czytaj tylko odwrotnie każdą liczbę".

Szyfr wyglądał tak:

5 4 3 2 1 6 4 7 4 2 3 2 4 4 6 3 8 3 5 2 0 5 6 9 2 0 5 2 0

Jaka jest treść szyfru?

A, B i C.

A B D : B = B C A B C A : B = C E F.

A B D i B C D podzielono dwukrotnie przez B; wynik pierwszego podziału wyniósł B C A, drugiego C E F.

Proponujemy Czytelnikom znaleźć wartości liczbowe dla wyżej wymienionych symbolów literowych.

Dokończenie ze str. 23-ej.

padła. Patrzyłam na miejsce, które wskazała mi Teresa. Gęsto było zarosłe. Nagłe skojarzenie wrażeń z rozmowy z rządcą i straszne podejrzenie, wizja koszmarna przebiegła mi mózg, jak igła rozpalona... Wróciłam do oficyny. Powiedziałam, że się rozmyśliłam i że na noc nie zostanę. Muszę dziś jeszcze być w najbliższym miasteczku. Krynicki przypatrywał mi się dziwnie... poprostu nie spuszczał ze mnie oczu. Poprosiłam o konie. Zajechałam do jedynego hoteliku, jaki się tam znajdował i udałam się do komendanta policji. Natrafiłam na inteligentnego człowieka. Powiedziałam mu, kim jestem, powiedziałam, że mam pewne podejrzenia, że żądam, aby rozkopano klomb. O tem, co mi się przydarzyło oczywista ani słowa. Mógłby mnie wziąć za obłąkaną. Usiłował mi tłumaczyć, że niema przecież podstaw... ale uległ w końcu. Wczesnym rankiem pojechał ze mną do Witkowszczyzny wziąwszy jednego posterunkowego. Pojawienie się policji wywołało popłoch. Z pola przybiegł Krynicki. Twarz miał zupełnie białą.

— Panie komendancie, czy to rewizja? u mnie?

— Nie, panie Krynicki. Nie rewizja. Da mi pan dwóch ludzi z łopatami.

— Z ło-pa-ta-mi??...

Nie kopano długo. W tem samem miejscu, które wskazałam...

Krynicki przyznał się do wszystkiego...

— — — — — — — — — —

W biurku Teresy, którego zresztą Krynicki nie ruszał, znaleziono testament. Witkowszczyznę zapisała Teresa mnie. Mieszkam tam teraz.

Jedna z młodych kobiet, siedzących na kanapce, wzdrygnęła się.

— Mieszka pani tam? tam, gdzie duch...

Starsza pani utkwiła wzrok w dal:

— Teresy nie widziałam już nigdy potem...

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. W Teatrze Narodowym odbyła się premjera sztuki młodego francuskiego dramaturga Karola de Peyret-Chappuis p. t. **„Szaleństwo"** (przekład p. L. Pomirowskiego). Utwór ten zyskał uznanie w roku ubiegłym na scenie paryskiej. — Reżysersko przygotował tę sztukę Antoni Cwojdziński. Doskonała była Eichlerówna jako Elżbieta. Pozatem trzeba wymienić p. Dusębę (matka Elżbiety), Małynicz (Aurelja), Barszczewską (Marta), Białoszczyńskiego...

Teatr Malickiej zaprezentował komedję Tadeusza S. Chrzanowskiego p. t. **„Japoński rower"**, przyjętą życzliwie przez krytykę stołeczną. Reżyserował ją p. Zawistowski. W rolach głównych ujrzeliśmy pp. Ścibora, Zielińską, Stojowską, Wierzejską, Jagę Borytę, Nowackiego, Modrzewskiego, Zawistowskiego, Bay-Rydzewskiego.

W Teatrze Małym ujrzeliśmy sztukę znanego angielskiego autora, J. B. Priestleya p. t. **„Złoty deszcz"**. Autor stara się pokazać, ile nieoczekiwanych tajemnic i fantazji kryje się pod pozorami statecznego życia. Reżyserował tę sztukę Al. Zelwerowicz. On też zagrał wybornie jedną z głównych ról (starego Redferna). Pozatem należy wspomnieć o pp. Jarszewskiej, Wasiutyńskiej, Gelli, Ciecierskim, Wesołowskim i Soeze.

POZNAŃ. Teatr Polski wystawił w reżyserji Jerzego Szyndlera i w oprawie dekoracyjnej Zygmunta Szpingiera **„Balladynę"** Słowackiego. Zespół włożył duży wysiłek w należyte wykonanie całości. Rola tytułowa przypadła p. Sawickiej, która zagrała ją bardzo udatnie. Aliną była p. Czechowska, Goplaną p. Barwińska, Grabcem p. Kierczyński, Kostrynem p. Szalawski.

NOWE KSIĄŻKI

Fannie Hurst: „Wielki śmiech". Wyd. J. Przeworski, Warszawa. Wśród wielu powieści amerykańskich — książka znanej już naszemu czytelnictwu powieściopisarki **Fannie Hurst** p. t.: **„Wielki śmiech"** wyróżnia się niezwykle dodatnio. Centralną postacią tej pięknej książki jest staruszka, która dożywa stu lat, matka, babka i prababka, wokoło której jednoczy się cała rodzina i splatają się losy wszystkich. Postać to niezwykła, niezmordowana życiem, ani nawet toczącą ją straszną chorobą. Powieść tę słusznie nazwaćby można apoteozą starości. Poza tem centralnem zagadnieniem, jakie tworzy wspaniale oddana starość tej silnej kobiety, w powieści znajdujemy całą kopalnię typów i różnych losów ludzkich. Wszyscy członkowie wielkiej rodziny przedstawieni są wyraziście na tle burzliwego i namiętnego życia Ameryki tuż po wielkiej wojnie. Jest tam i miłość prawdziwa i pogoń za pieniądzem i sprzedanie się kobiecej kalece dla karjery i wszystkie omyłki, jakie popełnia młodość, wszystkie jej nadzieje i cały jej światoburczy program. Z powieści tej, przełożonej przez **Stefanję Heymanową,** a wydanej starannie przez **Wyd. J. Przeworski** w Warszawie, wysnućby można dużo refleksyj w odniesieniu do tak wiecznie żywego i pasjonującego tematu, jakim jest rywalizacja pokoleń — doświadczenia starości w kontraście z programem młodych, zaczynających od nowa to samo, co już dawno stało się doznaniem, zwycięstwem czy klęską starych. Stąd też tytuł tej niecodziennej książki „Wielki śmiech" bohaterki powieści, stuletniej staruszki, na widok jednakiej, wiecznie tejsamej, chociaż w zmieniających się formach, walki młodych o dawno przez starych zdobyte, a niejednokrotnie i utracone pozycje. **W. Z.**

„Skrzydła nad Arktykiem". Janusza Meissnera. (Rój). Autor popularnych opowieści lotniczych, Janusz Meissner ogłosił drugą część powieści „Szkoła orląt". Tom ten nosi tytuł **„Skrzydła nad Arktykiem"** i zawiera wizję polskich skrzydeł w służbie linji okretowyej zw. Wielką Linją Północy. W rzeczywistości linja ta jest muzyką odległej przyszłości, jest tworem „czystej" fantazji pisarskiej. Autor przenosi zresztą autentyczne wydarzenia, związane z uwięzieniem „Czeluskina" wśród lodów północy i akcji ratowniczej, prowadzonej przez pilotów — na tło środowiska polskiego. Emocjonujące, jak zwykle u Meissnera, są opisy przeżyć lotniczych. Autor umie stronicom swych książek nadać tchnienie optymizmu i życiowej energji.

„Silva Rerum". Czasopismo Tow. Miłośników Książki. Kraków, 1938 r. Zagłębiony mimo wszystkie katalizmy dziejowe, ekonomiczne i społeczne, jakie raz po raz uderzają w starą Europę, światek bibljofilów powita wieść o wznowieniu wydawnictwa „Silva Rerum" napewno z radością, jaka towarzyszy każdej naprawdę kulturalnej imprezie. Kilka roczników „Silva Rerum", których wydawnictwo zostało przerwane w r. 1931, świadczy aż nadto dobrze o wartości tego miesięcznika, o szerokim zasięgu jego zainteresowań i o doborowych autorach, którzy w niem zamieszczali swe prace. Zarówno dziedzina exlibrisu, jak też opraw książek, ale nadewszystko oczywiście rzadkości bibljograficzne, pierwsze wydania znanych dzieł, kwestja ozdoby książki, dzieje bibljotek i tyle innych momentów wchodzących w skład pojęcia bibljofilstwa, znalazły na łamach „Silva Rerum" gościnę w ciekawych artykułach, bogato nieraz ilustrowanych. Sześć lat istnienia tego miesięcznika, który wychodził w latach 1925—1931 wylegitymował nietylko samo pismo jako dobre i wartościowe, ale wykazał, że sprawami bibljofilskiemi interesuje się duże koło osób. Obecnie redakcję tego miesięcznika prowadzi wraz z komitetem redakcyjnym p. Kazimierz Witkiewicz, a najbliższy numer tego miesięcznika ukaże się w listopadzie br. Należy mieć nadzieję, że nietylko wydawnictwo znajdzie poparcie szerokich sfer ludzi naprawdę kulturalnych, ale że zdoła rozpostrzeć swe skrzydła jak najszerzej, przynosząc dużo nowych ciekawych przyczynków do dziejów polskiej książki w wszystkich jej dziedzinach. Siedziba redakcji miesięcznika mieści się przy ul. Smoleńsk 9.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 6 listopada.

12.03 Poranek symf. z Wilna.
16.30 Recital skrzypcowy Kerttu Wanne.
19.30 Najnowsze nagrania Edwina Fischera (płyty).
21.40 Kukułka Wileńska: „Wesele Robinsona".
22.10 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 7 listopada.

16.30 Polskie minjatury fortepianowe.
18.30 Koncert rozrywkowy Orkiestry Rozgł. Wileńskiej.
21.00 Recital skrzypcowy Emila Telmanyi.
22.00 Nowe nagrania słynnych orkiestr symf. (płyty).

Wtorek, 8 listopada.

16.25 Pieśni polskie i obce, wyk. Fr. Platówna.
17.10 Recital skrzypcowy Tom. Jaworskiego.
21.00 Koncert symfoniczny.
22.17 Sonaty na skrzypce i fortepian.

Środa, 9 listopada.

11.25 Wesołe uwertury z płyt.
17.00 „Powrót J. Piłsudskiego z Magdeburga" — odczyt.
19.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Ork. P. R.
22.00 Dyryguje Artur Toscanini, koncert z płyt.

Czwartek, 10 listopada.

17.35 „Mikrofony na ulicach Warszawy 10 listopada 1918 r.", fikcyjna transmisja z przeszłości.
18.30 Przemówienie Pana Prezydenta R. P. Prof. Ignacego Mościckiego.
18.45 „Szlakiem Marszałka Józefa Piłsudskiego" — suita muzyczna M. Rudnickiego.
19.30 „200 lat żołnierza polskiego" — audycja słowno-muzyczna.
20.00 Koncert muzyki polskiej.
21.00 „Pochodnie wieków": „Polska wschodzi".
21.30 Capstrzyk — audycja zbiorowa rozgłośni P. R.
22.50 Ojczyzna — psalm Feliksa Nowowiejskiego.

Piątek, 11 listopada.

7.15 „Od Mazurka Dąbrowskiego do I-ej Brygady" — audycja muz.
8.45 W 20-tą rocznicę odzyskania Niepodległości Polski — transm. uroczystości z Warszawy i rozgł. regjonalnych.
14.30 „Wojsko polskie w pieśni ludowej" — audycja muz.
15.00 „Polska w dn. 11 listopada 1918 r.", audycja zbiorowa.
18.00 Symfonja Polski Odrodzonej — montaż liter. muzyczny.
20.00 Uroczysty koncert z Filharmonji Warszawskiej.
22.15 „Wielkości, komu nazwę tę przydano" — aud. lit. muz.
22.45 Koncert orkiestry wojsk.

Sobota, 12 listopada.

16.30 Flet i harfa — konc. z płyt.
17.00 „Don Pasquale" — skrót operowy.
19.15 Koncert muzyki lekkiej.
23.15 Muzyka taneczna z płyt.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.